Nr. 6. Kraków, 5 Kwietnia 1893 r. Rok III.

Wychodzi
5 i 20 każdego miesiąca

Prenumerata wynosi
w Krakowie:

rocznie . . .	7 złr.	20 ct.
kwartalnie . .	1 „	80 „
miesięcznie . —	„	60 „

Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 centów.

Numer pojedynczy kosztuje 30 centów.

Rękopismów drobnych nie zwraca się.



Prenumerata
na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:

rocznie . . .	8 złr.	— ct.
kwartalnie . .	2 „	— „

w Niemczech:

rocznie	16 m.
półrocznie	8 „
kwartalnie	4 „

We Francyi:

rocznie . . .	20 franków
kwartalnie . .	5 „

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „Myśli“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Dwutygodnik literacko-społeczny, ilustrowany.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy **ul. św. Gertrudy L. 2,** gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie: we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra. W Wiedniu: p. Felix Loewenburg III. Kolonitzgasse L. 9.

Od Wydawnictwa.

Prosimy o odnowienie kwartalnej przedpłaty!

Zwracamy uwagę naszych Sz. Czytelników na rozpoczęty w drugim odcinku dzisiejszego numeru druk romansu E. Zoli pod tyt.: „DOKTÓR PASKAL“.

JÓZEF SUPIŃSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Kiedy przed laty trzydziestu czy może pięćdziesięciu zjawiły się po raz pierwszy Supińskiego prace ekonomiczne i filozoficzne, jego „Szkoła gospodarstwa społecznego“, jego Fizyologia wszechświata,“ wyglądało to istotnie jako coś zupełnie nowego i świeżego, niby las nieznany i dziewiczy, surowo i chłodno wrzynający się w kwiecisto-poetyckie równiny poprzedniego okresu piśmiennictwa, ogrzane jesnemi promieniami romantyki, zasnute wiosennemi obłoczkami idealizmu, przetkane tu i owdzie mglistemi pasemkami umnictwa heglowskiego. Z niw arkadyjskiej sielanki prosto i odrazu wkraczaliśmy w gąszcz prawdziwej puszczy amerykańskiej, siekierą trudnej do urąbania. Po bożostanach, po prawdoświeciach, po jaźniobłamach, po misyach słowa, po modłach wiedzy, po prądach ducha, po Parakletach przeobrażeń cywilizacyjnych i po motylach baśni gminnej, ludzie ze zdumieniem i trwogą posłyszeli nagle o prawach szczegółowych i zbiorowych, o działalności mechanizmu społecznego, o stopniowem niknieniu zasobności świata, o prześciganiu pożywności przez mnożliwość, o stosunku spotrzebowywania do wydawania, o człowieku, jako części zasobu, o ograniczoności powszechnej, o świecie istniejącym darmo, o siłach rozkładu i rzutu, o praprawie zmienności wszechzjawisk i t. d. Odwróciła się jedna i druga kartka czasu, zapadło w przeszłość lat kilkanaście, błękity sklepień niebieskich okryły się grubemi chmurami klęsk i niepowodzeń, spadły na ziemię zawieje pozytywizmów, ulewy naturalizmów, grady socyalizmów, cyklony kapitalizmów, — wszystko, co żyje, rzuciło się szukać przytułku i schroniska.... I oto ów głuchy, ciemny i nieprzystępny bór Supińskiego wydał się naraz czemś w rodzaju przestronnej i dobrze opatrzonej gospody, korabiem Noego, wśród powszechnego potopu, istną arką przymierza między staremi i nowemi laty. Burze ustały, oczyściło się powietrze, z poza obłoków wyjrzał rąbek zachodzącego słońca. Ten i ów wysunął się na błonia, gdzie dotąd szalały wichry, za tamtymi poszli inni, jeden jął oglądać potłuczone róże dawnych natchnień i pomysłów, drugi zbierać wyrzucone z łożysk muszle chowane i robaczki posłannictw świętojańskich, trzeci zbawczym chróśniakiem zawalać błotne jamy i kałuże, czwarty spędzać zaśniedziałość z pokruszonych mieczy i zdmuchiwać popiół z zagasłych ogni, piąty wskrzeszać obumarłe z tamtego świata lalki, szósty ubolewać nad rozpierzchłemi marami dawnych dogmatów, siódmy wydeptywać możliwe z najmokrzejszych sytuacyj wyjścia... Gdzież się nagle podziała gościnna i opiekuńcza dąbrowa? A pozostała tam het daleko z tyłu, na sinawym skraju widnokręgu, gdzie sterczy samotna i zapomniana, jak szopa zwalona, jak rumowisko stare, zużyte....

Czy tylko istotnie stare i zużyte? Czy dobrze i dowodnie o tem wiemy? Czy z przynależną dokładnością zbadaliśmy tę sprawę? Lepiejby może o tem nie mówić!

Ku nam za Konrada mazowieckiego ciągnęły najgorliwsi szerzyciele oświaty, krzyżacy, ku nam podążały rzemiosła i rękodzieła z zachodu, a czambuły tatarskie ze wschodu, ku nam za sasów wylał się zbytek i nierząd „staropolski,“ ku nam za świeższej już pamięci przyszybowały z za Alp szczytów orły napoleońskie, przypełzały z nad Wełtawy wykopaliska i groby starosłowiańskie, przyszła następnie byronowska tęsknica z Anglii, przybył za nią rozhukany rewolucyonizm z Paryża, później znów tajemniczo rozszeptany mistycyzm Schellingów i Baaderów, później niebotycznie rozbłyskany Hugo, później Comte, później Mill, później Spencer, później może spirytyzm i magnetyzm— do nieskończoności. Wszelka teorya w owym czasie, wszelka doktryna, wszelki wiatr, wszelki prąd przylatywał złożyć nam swą kartkę wizytową, wydeklamować swe tytuły, zaprezentować krawat, zareklamować sprzączki i guziki — i znikał. Ile z tych sąsiedzkich lub zamorskich odwiedzin zostawało pożytku dla rozpostartej jak w teatralnym fotelu podmiotowości naszej, co z tego ciągłego otrząsania prochów cudzoziemskich na naszych progach wchłaniała w siebie gleba ojczysta, i jak się w tych odmianach z dnia na dzień barwiła rzeka domowych naszych potrzeb, nadziei i pragnień? jest to już chyba zagadnienie najzupełniej podrzędne. Rzecz główna, ażeby przedstawienie dalej wciąż trwało. A pod tym względem, czyliż nie można bezpiecznie polegać na mytologizmie, że ponieważ byli pieśniarze przed nami, więc i piosnki po nas będą?...

Wobec tego pewnika mało też zapewne kogo obchodzi już dzisiaj pytanie: co nam naprawdę swojskiego i samoistnego przyniósł przed laty ś. p. Józef Supiński z długiej i pracowitej wędrówki swej ziemskiej. Epilog żywota zgadzałby się w takim razie z jego przedmową. Autora „Szkoły gospodarstwa społecznego“ powitano niegdyś, jak wiadomo, dość z góry, z pańska, po naszemu: „wasza, bratku, ekonomia polityczna, w dwóch słowach się zamyka, sprzedać najtaniej, kupić najdrożej,“ — czy nawet naodwrót. Za to, co prawda, w roku 1875, gdy obchodzono 50-letni jubileusz pisarskiego zawodu „schorzałego, ślepego, schodzącego do grobu“ pracownika, pożegnano go również, jak tylko u nas żegnać umieją: gorąco, serdecznie, po obywatelsku, po synowsku prawie. Ale już nazajutrz, naturalnie, rzeczy wróciły do dawnego stanu. „Po zupełnem zaniewidzeniu i zaprzestaniu działalności pisarskiej — powiada *Dzien. Pozn.* — poszedł Supiński w *zapomnienie* i żył odtąd w zupełnem zaciszu, w którem los nie szczędził mu przykrości dotkliwych, zabierając mu z kolei syna i wreszcie wnuka, który pieczołowitą opieką otaczał starca“... Zabrakłoby z pewnością i sił i miejsca, gdybyśmy chcieli wykazywać dalsze i bliższe przyczyny podobnych wśród nas „zapomnień,“ które w da-

nym wypadku — jak mniemamy, — stosują się raczej do prywatnego życia człowieka, niźli do jego dzieł i prac, posiadających wartość stałą, niespożytą w historyi umiejętnych naszych zdobyczy. Przypomnijmyż sobie najpierw w kilku przynajmniej słowach, że w Supińskim nietylko pisarz i uczony, ale i człowiek mężnie i po rycersku aż do końca walczył z owym fatalizmem niemocy organicznej, czy też przypadkowego tylko osłabienia, co nas tak ustawicznie pędzą po krańcach i szczytach to zapałów podniosłych, to poziomego zniechęcenia.

Pierwsze lata życia Supińskiego zdawały się zapowiadać przyszłość spokojną, na ogół o tyle szczęśliwszą, że nie wykolejoną, pospolitą. Urodzony w kwietniu 1804 roku w Romanowie pod Lwowem, z rodziców ziemian średniej zamożności (Adama i Tekli z Mrozińskich), miał wuja, znanego twórcę „Zasad gramatyki języka polskiego,“ jenerała wojsk polskich, którego pamięci poświęcił później najcelniejsze swe dzieło „Fizyologię wszechświata“ z tym przypiskiem: „Opiekunowi mojej młodości.“ Mroziński wcześnie zabrał siostrzana do Warszawy, uwalniając go tym sposobem z pod wpływu niemczyzny, która po 1815 roku wszechwładnie zapanowała w szkołach i urzędach galicyjskich. Gimnazyum i wydział prawny na uniwersytecie przechodził Supiński z odznaczeniem, którego ślad poetycki pozostał i w jego pismach. Bibliografia Estreichera zaznacza pod r. 1826 wiersz 22-letniego akademika, p. t. „Obrzęd pogrzebowy ks. Stanisława Staszica, przez J. K. S..., Warszawa, str. 8 in 8-vo.“ Była to elegia z powodu zgonu, w dniu 26 stycznia tego roku, sławnego statysty i filantropa polskiego. Po kilkuletnich studyach, w których ekonomia społeczna, wykładana wtedy przez Fryderyka hrabiego Skarbka, późniejszego ministra finansów, stanowiła przedmiot umiłowany, S. otrzymał stopień magistra i wstąpił zaraz jako aplikant do wydziału spraw wewnętrznych w rządzie Królestwa Polskiego.

W roku 1844 przeniósł się do Lwowa. Zatrudniony początkowo w wiejskiem Towarzystwie kredytowem, wkrótce, za protekcyą ks. Leona Sapiehy, zajął stanowisko rachmistrza w nowopowstałej „Galicyjskiej kasie oszczędności“ i w instytucyi tej pozostawał lat 20, aż do utraty wzroku i emerytury (620 guld. rocznie), która do końca życia stanowiła główny zasób jego utrzymania. Na tem to stanowisku zasłynął Supiński jako wytrawny znawca stosunków społecznych kraju, których od zgonu Staszica i Skarbka nikt z większą od niego gorliwością i z większym talentem nie uprawiał. I w tym to 20-letnim okresie, przy pracy we dnie na chleb, z trudów nocnych i świątecznych, powstały celniejsze jego dzieła: w roku 1860: „Myśl ogólna fizyologii powszechnej“ (taki był tytuł pierwotny późniejszej „Fizyologii wszechświata,“) w latach 1862—1865 „Szkoła polska gospodarstwa społecznego“ (dwa tomy), „Siedm wieczorów opowiadania z życia społecznego,“ (wyborny wykład kwestyj ekonomicznych dla ludu i wogólności dla klas pracujących). Pierwsza zbiorowa edycya dzieł Supińskiego wyszła w księgarni Wilda we Lwowie, w pięciu tomach; druga, znacznie pomnożona, z portretem autora, także w pięciu tomach, u Gebethnera i Wolffa w Warszawie (1883).

Jaką jest — w ostatecznem rozważeniu — wartość tych prac filozoficzno-społecznych i ekonomicznych? Dla bezstronnego, godnego autora, rozstrzygnięcia tego pytania, wypadłoby napisać książkę całą. Zniewoleni sprowadzić zadanie do rozmiarów znacznie skromniejszych, a zarazem choć w szczupłej mierze zadośćuczynić obowiązkom uczucia i wymaganiom pożytku publicznego, chcielibyśmy wytknąć tu przynajmniej kilka głównych założeń Supińskiego, kilka jego tematów zasadniczych, pobudzających do myślenia, nastręczających materyał do dyskusyi żywotnej. Kto wie, nastaną może kiedyś czasy fortunniejsze, zjawią się pokolenia zdrowsze, silniejsze, mniej czułe i wrażliwe na to jedynie, co dziś dopiero albo wczoraj, w ostatniej godzinie, błysnęło gdzieś tam na cudzem podwórku.... Wówczas prosty znak zapytania na marginesie książki, kreska cienka, podkreślająca problemat, zrodzony w głowie polskiego myśliciela, droższemi, milszemi może się okażą i więcej ważyć będą, niż kiedykolwiek ważył u nas kurz wszystkich księgozbiorów Oksfordu i katedr Salamanki.

J. St.

KANTATA

KU CZCI ADAMA MICKIEWICZA.

CHÓR.

Tęskniący duchem po minionej dobie,
Wiekowym smutkiem łzawi i boleśni,
Kornemi czoły pokłon dajem Tobie,
O, królu polskiej pieśni!

Ty mówisz do nas przez swych natchnień zdroje:
Sercu: „Ukochaj!“ a duchowi: „Wskrześnij!“
I kłosem w piersiach strzela ziarno Twoje,
O, królu polskiej pieśni!

GŁOS.

Gdy śćmiła się, Polsko, promienna twa zorza,
Gdyś łzami spłynęła i krwią,
Rzekł Chrystus: „Niech leci od morza do morza
Pieśń — naród mój budzić — i Ją!...

I wstała drużyna proroków — pieśniarzy
I pieśń szła do dworów i chat,
Na grobach serc ludzkich i grobach cmentarzy
Nadziei i wiary siać kwiat.

I, widząc, jak drżała pierś jedna najczystsza,
Rzekł Chrystus: „Wybraniec tyś Mój!
Królewskie weź berło i bardon weź mistrza
I hartuj — i wskrzeszaj — i zbrój...“

I przywarł mistrz sercem do ziemi skrwawionej
I święty pierś przeszył mu dreszcz...
On cierpiał za milion i kochał miliony,
On — wielki, On — prorok, on — wieszcz!

CHÓR.

Bezdomny tułacz, za życia i w grobie,
Obracał oczy ku Tobie
I śnił o tobie, Polsko, jak o niebie,
Nim prochem wrócił do Ciebie..

PARTYA SZACHÓW

POWIEŚĆ

przez WALERYĘ SOLECKĄ.

(Ciąg dalszy).

Wąskie, gotyckie okna przepuszczały zbyt mało światła i zostawiały sale w półcieniu, z którego wynurzały się wysokie krzesła z gotyckimi szczycikami, rzeźbionymi misternie, stare portrety, złożone kompletnie i jak w muzeach ustawione rzędem średniowieczne zbroice, poszczerbione miejscami od pik i toporów, z rdzawemi dziurami od kul w drucianych koszulkach i misiurkach, co robiło wrażenie szeregu ludzi żelaznych, którym ucięto głowy. Światło, wpadające przez kolorowe szyby, ślizgało się nieśmiałym snopem żółtych i czerwonych promieni po chłodnej stali i murach, tuliło się do białych posągów, niby przypadkiem zbłąkane tu i zlęknione — a rosnąca przed oknami ogromna ilość rozkwitłych, białych lilii, i purpurowego scarletti, roztaczając ogromny szmat miękkiego, rozkosznego aksamitu, wesołym kontrastem dopełniała tego uroku. Namiętna woń lilii, zalatując od czasu do czasu z prądem powietrza, uderzała zmysły, zawracała głowę, a drobna nóżka młodej kobiety stąpała z drżeniem po rozścielonych skórach lamparcich, mozaikowych posadzkach i wschodach z czarnego bazaltu, cofała się, przestrachem zdjęta, gdy niespodzianie z niszy wysunęła się twarz kamienna zbrojnego rycerza — lub przelatujący ptak skrzydłem uderzył o szyby.

Eliza szła oparta na ramieniu męża, milcząca i blada, przejęta uroczystą powagą starych murów; ciało jej drżało od chłodu, a różowe nozdrza z przykrością wciągały powietrze, które zdawało się jej przesycone wilgocią i pleśnią. Ulegając wrażliwości swej natury, doznawała niemiłego jakiegoś uczucia, nieokreślonego wyraźnie, które złem przeczuciem nazwała.

— Nie widziałam nigdy nic tak pięknego! — powiedziała z przejęciem do męża — lecz myśl, że musi tu zamieszkać, napawała ją rodzajem trwogi; mury te przygniatały ją i dusiły jak sklepienia grobu.

Pan Bruno oprowadzał ją po całym domu, pokazywał każdą salę, każdy gabinecik, każdy szczegół ciekawszy nagromadzonych a kosztownych zbiorów; nawet zaprowadził ją do pokojów służby i na wieżę, z której roztaczał się piękny widok na rozległą okolicę. Eliza upadała ze znużenia, lecz siliła się na wesołość i skupiała uwagę, aby okazać zajęcie, nie śmiąc powiedzieć mężowi, że wolałaby to wszystko zobaczyć jutro albo później.

Pan Bruno nie znosił opozycyi, wolała go więc nie drażnić.

Odetchnęła dopiero na widok jasnego saloniku w stylu cesarstwa, który zaczynał szereg jej pokoi. Złocone meble, na cienkich rzeźbionych nóżkach, marmurowy kominek, ozdobiony przepysznym zegarem, jasno niebieskie obicia ścian i mebli, kilka obrazów nowej szkoły, pełnych słońca, świeżości i ciepłej karnacyi ciał, wywołały z ust młodej kobiety szczery okrzyk radości.

Sypialnia różowa z popielatem, istne cacko elegancyi i gustu, ucieszyła ją jeszcze więcej — obok był gabinet toaletowy i łazienka, pełna egzotycznych kwiatów, z ogromną konchą kryształową, zastępującą zwykłą wannę — urządzona wymyślnie jak marzenie artysty, jakby zakątek lasu, służący za kąpiel greckiej bogini.

— Ach! jakiś ty dobry! — wołała oczarowana, zwracając się do męża. Jakiś ty dobry, jak pamiętałeś o mnie! Jakże to wszystko piękne i niezwyczajne!

Pan Bruno zgodził się nawet, aby wbrew przyjętym zwyczajom nie schodzić dziś do sali jadalnej; rozweselili się oboje i wśród

GŁOS.

Z dalekiej obczyzny, gdy wrócił po latach
Witały Go pieśni i łzy,
I cicho szła trumna... na Wawel szła w kwiatach,
Poeto! z królami śpij Ty!...

I grała i łkała królewska pieśń dzwonów,
Gdy trumna stanęła u wrót —
Śpiewaku milionów! Proroku milionów!
Patrz! żyje i kocha Twój lud!...

CHÓR.

O, żyje lud Twój, kocha i pamięta
I żyje ziemia ta święta,
A póki starczy tchu tym dwojgu w łonie,
I Ty żyć będziesz — po zgonie...

GŁOS.

Gdy niebo świtowym zróżowi się smugiem,
Zimowa gdy zniknie już pleśń,
Wieśniaczka przy krosnach, pacholę za pługiem
Zanucą natchnioną Twą pieśń.

I serca ich wnijdą w świat inny, w świat lepszy
I duchy polecą im wzwyż —
I pomnik mieć będziesz, och trwalszy i krzepszy
Nad granit... nad marmur... nad spiż...

Or- Ot

LITERATURA WOJOWNICZA W NIEMCZECH.

Cała niemiecka literatura podobna dziś do jednej wielkiej groty, odbijającej wszystkie echa europejskie. Wszystkie, byle nie niemieckie! Boleje nad tem patryotyzm niemiecki i jeśli nie może nową formę zdobyć estetyczną, to choć treścią narodową ratować chce oryginalność literatury. Obok ekstremu socyalno-demokratycznego, ktory wszystko zaciera, wszystkie wydrwiwa różnice narodowości, rasy, przywilejów, temperamentu, nawet i charakteru, rodzi się równie krańcowa literatura pangermańska z fałszywych tez nad niedoszłem panowaniem światowem, a zarazem z szychowych blasków nowego imperium zjednoczonego narodu. Socyalista Henekell śpiewa:

Głęboko jeszcze nam tkwią we krwi
Niezgrabne sztuczki kata,
Że różnią się tu dobrzy i źli:
Pojęcia moralne świata.

Lecz ja wiem, że wyróżnia mnie
To tylko nad mordercę,
Że zlewam w pieśń uczucia swe
I mam spokojne serce.

Pogratulować tylko poecie do takiego wyznania! To szczyt skromności, stawiającej się obok rzezimieszków i rozbójników. To więc jest jedna strona skrajnych obozów w literaturze. Druga, którą zająć się tu chcę nieco, jeszcze pocieszniej nam się przedstawia.

W jednym z numerów październikowych z r. 1891 pisma „Grenzboten“ jakiś radca pruski Juliusz Szaper zapowiedział swoją epopeję „Zmartwychwstanie narodu niemieckiego“ i żal swój wyraził, że nie opiewano jeszcze czynów bohaterskich zwycięstw pod Gravelotte i Sedanem. Otóż podjął się pan radca naprawić tę szkodę Chodziło tylko patryotycznemu poecie — jak się spowiada — o wynalezienie odpowiedniej miary wierszowej i zapewnia swoich czytelników, że wybrana przezeń strofa Nibelungów godnie odpowie zadaniu.

Ta sama dążność osłaniania patryotycznym motywem lichość formy i słabość myśli objawia się w dramacie i powieści. Kierunek taki zwyciężyć może tem łatwiej, że w Niemczech jest bardzo wiele piszących i że dawno już na miejsca talentu osadzono bezczelną reklamę i linoskoctwo literackie.

W Niemczech liczą dziś do 15,000 pisarzy. Jest to mały korpus, który mógłby atramentem zalać armię, oblegającą Parnas niemiecki — jak ongi Polacy kaszą gorącą Tatarów.

W liczbie tak pokaźnej bohaterów pióra mieścić się muszą — jeśli nie osobistości, to choć osobliwości, zdolne rozerwać człowieka w tak nędznie nudnym czasie, jak nasza epoka bankructw giełdowych, wyroczni Bismarkowskich i dewiz króla Pruskiego.

Są poeci szesnastoletni, którzy kończą samobójstwem i których utworami na pół szalonemi zapełniają się miesięczniki, jak to czyniła „Gesellschaft“ w Monachium z wierszami i nowelami niedoszłego gimnazyasty Ludurg'sa.

Są i księgarze spekulatywni, którzy, poszukiwania robiąc za drzemiącymi gdzieś w ukryciu geniuszami, wysyłają odezwy zapraszające wszystkich rymopisów do wzięcia udziału w antologiach i albumach. Jeden taki sprytny przedsiębiorca w Gelsenkirchen w Westfalii, zaprosił w roku ubiegłym wszystkich poetów niemieckich urodzonych po roku 1872, aby mu przesłali swoje liryki. Spodziewa się on, że w ten sposób dojdzie do zbioru czysto niemieckich poezyj — bo poeci niżej lat 20 nie mieli zapewne jeszcze czasu przepsuć się Tołstojem, czy Ibsenem, Bourgetem, czy Zolą.

Po tej drodze krocząc wydawcy, dojdą niebawem do rekrutowania pangermańskich wieszczów z ław szkoły ludowej. Takie kurioza literackie nie mogą przejść bez udziału publiczności!

W antologiach berlińskich obok Dahna i Ebersa, Mayera i Heysego popisują się dziś już niedowarzeni gimnazyaści, jak szesnastoletni Wurda! Czy ma talent! Talentu może niema, ale młody jest. Heine wyśmiewał swego czasu cnotę szwabskich poetów, pisząc złośliwie:

Są poeci z umysłem głębokim
Inni hardzi a inni są tkliwi,
Inni znowu z polotem wysokim
Wy poeci szwabscy, wy cnotliwi....

Dziś zwrotka inaczejby trochę brzmieć musiała:
„Wy poeci germańscy, wy młodzi....“
Młodzi nie żarem, nie wiarą, ale latami!

Obok tych cudackich rymopisów krzewi się krytyka tak ciasna, że człowiekowi, znającemu szlachetne postacie Herdera i Lessinga wprost niepodobna uwierzyć, że takie elukubracye możliwe są w Niemczech sto lat po „Laokoonie“ po „Hamburskiej dramaturgii“ i „Kritische Wälder“. Za przykład podam w pierwszym rzędzie bliżej nas obchodzącą krytykę literatury polskiej.

W numerze 33 z r. ubiegłego w „Gegenwart“, jednym z najbardziej cenionych tygodników berlińskich, napisał jakiś P. Lo-

---

śmiechów a dowcipnych żartów Brunona, wypili herbatę w buduarze...

Herbata była doskonała — pasztet, ciasta, owoce, niezwykle smaczne; wietrzyk przynosił im balsamiczną woń ogrodu — to też pierwszy ten wieczór na nowej siedzibie przeszedł w obustronnej wesołości i harmonii, wróżąc niejako szereg dni pogodnych, szczęśliwych...

Nazajutrz rano Eliza zbudziła się ze smutkiem i tym ciężarem na sercu, który ją dusił oddawna. Wyskoczyła z łóżka, a chcąc odpędzić prześladujące ją widmo, otworzyła wszystkie okna, oddychała powietrzem, pełnem woni jaśminu i róż — wychyliła się oknem na słońce, by rosa poranna ochłodziła jej ramiona i piersi i — zakryła twarz obiema rękami, czując, że łzy cisną jej się do oczu.

Cisza wiejska, świergot rozbudzonego ptactwa, bojaźliwy a wesoły, jasność poranku, szum drzew, cały ten chór przyrody, cieszącej się głośno życiem, wracający zwykle spokój ludziom zmęczonym, ulgę nieszczęśliwym — w duszy tej kobiety wywoływał same dysonanse jak uderzenie ręką w rozstrojony instrument muzyczny.

Przebiegła szybko wszystkie pokoje, błyszczące od jedwabi, złota, koronek, srebra, marmurów, jasne i wesołe, jakby stworzone umyślnie na przybytek szczęścia, zalane potokami słońca, które jej twarz, ramiona, plecy gorącymi pocałunkami okrywało... Patrzyła dokoła, dziwiąc się, że nie może być wesołą, że ten ciężar wciąż ją przygniata, jak zmora, jak kamień.

Wszakże teraz jest wielką panią, ona, biedna dziewczyna, co niedawno zazdrościła innym lada jedwabnego gałganka, lada kapelusika modnego! Od dziś ma pałac, wysłany jedwabiem, zasypany kwiatami i dziełami sztuki; od stóp do głowy może się ubrać w brabanckie, płacone na wagę złota koronki i obwiesić śnieżne swe ciało w blaski klejnotów i pereł jak bóstwo indyjskie...

I czegóż jej więcej trzeba? Czyż nie mówiono jej zawsze, że złoto i wysoka pozycya w społecznej hierarchii są wszystkiem... są podstawą bytu... bez którego nie ma szczęścia ani nawet — zadowolenia?

Myśli te kłębiły się jej w głowie, jakby ją chciały rozsadzić — więc obu rękami przyciskała białe czoło. — Nagle uczuła, że jej braknie oddechu, i jak ptak, pragnący wyrwać się na wolność, na powietrze — wybiegła do ogrodu. Szła szybko, a idąc, ocierała łzy duże, które jej po twarzy płynęły; patrzyła w jasny, przeźroczysty błękit, rozsuwała rękami gałęzie jaśminów, które ją srebrnobiałem kwieciem swem obsypywały. Orzeźwiający, cudowny czar przyrody powoli spływał na nią, wstrząsał całą jej istotą; płakała — bo pierwszy raz uczuła się winną. Jakiś niewyraźny głos z głębi jej serca wołał i wyliczał długi szereg popełnionych błędów, błędów słabości, zaślepienia, egoizmu! Lecz zarazem rezygnacya wstępowała w jej duszę. Licząc i zbierając różne fakta swej egzystencyi, młoda kobieta skończyła obrachunek ten postanowieniem, że znosić będzie spokojnie i z uśmiechem los, który sama sobie zgotowała. Zresztą, życie jej nie było straconem — myślała — jeżeli nie może być szczęśliwą sama, potrafi drugim stać się pożyteczną.

Zagłębiona w myślach, biegła szybko, wlokąc po ścieżkach i trawnikach biały muślinowy negliż, oszyty koronką i związany w pasie złotym sznurem — jakby zupełnie o tem zapomniała, że aksamit i kobierce murawy, srebrna rosa a złote piaski to są zdradliwe szkodniki.

Chłodna rosa, padająca na nią kroplami z poruszanych gałęzi, ostry, rzeźwy zapach ziemi i świeża zieloność, sprawiały jej rozkosz, chłodziły skronie i ciało — umyślnie więc zanurzała się w gąszcze.

renz sprawozdanie o literaturze polskiej. Nie wiem, kto jest p. Lorenz.

Wiek ma się ku końcowi i czasu nie starczy na poznanie wszystkich geniuszów krytyki niemieckiej. Sprawozdawca ten stwierdza, że w Polsce w ogóle niema literatury, że Polacy robią tylko hałas i niektórzy łatwowierni idą im na lep, czytając, albo tłómacząc nawet ich dzieła. Ktokolwiek w Polsce coś napisze, zaraz ochrzczony jest „olbrzymim talentem". Tymczasem ubóstwo obserwacyi u Polaków jest zastraszające. Każdemu dziełu polskiemu można zarzucić, że piszący nie widział co kreśli i nie czuł, co przedstawia. Historya mogłaby tak samo bez ujmy wszelkiej odgrywać się w Chinach lub Japonii, Egipcie lub południowej Ameryce. Opisów przyrody Polacy nie znają, nie umieją patrzyć, a tem mniej kreślić. W literaturze polskiej jest bardzo mało inwencyi, a jeszcze mniej uczucia! Produktywność wielka pisarzy jest właśnie tylko dowodem braku wszelkiej pracy, wszelkiego skupiania się. Wszystkie powieści są jakby waryacyami jednego tematu. Nieraz różnią się tylko nazwiskami osób między sobą. Konopnicka nie ma najmniejszej zdolności odczuwania losu ludu, nie bierze do serca walki biednych i wydziedziczonych. Literatura w ogóle jest tylko poddanką kościoła; oprócz motywu wiary żadnego nie zna innego bodźca, ni sprężyny, ni środka rozwiązania akcyi.

Sienkiewicza tyle sławiona powieść „Bez dogmatu" jest długą, rozwodnioną Werteriadą (bez Goethego talentu!) i t. d. i t. d.

Takie głosy wrogie same nie sądzą. Jest to estetyka polityków, a nie znawców literatury! Ale ten prąd pangermański zatruwa i mężów, poświęcających się jedynie beletrystyce. M. G. Conrad, wydawca Monachijskiego miesięcznika „Gesellschaft" poświęcając kilka słów powieści „Bez dogmatu" gniewa się, że tę powieść „*eines Polaken*" przetłumaczono na język niemiecki.

Wierzę, iż przekłady znakomitych utworów z obcych języków psują klientelę pana Conrada, który przecież napisał dość niemieckich dzieł, nietłumaczonych niestety na żaden język obcy.

Jeśli M. G. Conrad napada dziś na Sienkiewicza, to nie można tego tłumaczyć różnicą estetyczną wyobrażeń. Jest to tylko brutalny wybuch niemieckiego serca, któremu w Niemczech za mało, które świat cały chciałoby podbić.

Ale ta brutalność, przeszczepiona do wszystkich kątów Niemiec z Prus, wprost śmieszne zaczyna wydawać owoce. Jeden z fejletonistów „*Hamburger Nachrichten*" Bismarkowski pachołek literacki, Eug. Reichel wydał studyum o „Prusakach w literaturze niemieckiej (die Ostpreusen in der deutschen Literatur) Kto chce się oduczyć śmiechu, niech pilnie odwiedza komedyą niemiecką, ale kto się rozweselić pragnie, ten niech sobie przeczyta to studyum. Z naiwnością niepodobną do uwierzenia Eugeniusz Reichel wywodzi, że wszystko, co było wielkiego w literaturze niemieckiej początek swój zawdzięcza duchowi pruskiemu. Gdyby obok dramaturgów nadwornych — jak Wildenbruch istniał także urząd krytyki nadwornej, to Reichel z pewnością powołanymby został za swoją zmyślność estetyczną na dwór berliński. W Berlinie traktowanoby też może seryo jego pomysły — gdzieindziej śmiech tylko budzi. Twierdzi n. p. że Prusacy prawie wszędzie są szermierzami i kierującymi duchami, od których wychodziły największe idee w literaturze niemieckiej. W epoce od Gottscheda aż do skonu Goethego, największymi mężami są Gottsched i Herder.

Dlaczego Gotsched i Herder? Bo obaj byli Prusakami. A tymczasem Gottsched, mimo zasług dla języka niemieckiego, jest najbardziej oschłym, najbardziej pedantycznym i bezdusznym naśladowcą Francuzów; człowiek, który katował swoją żonę, aby pisała dramata wedle reguł przez siebie ułożonych, który poezyę uważał w duchu Hansa Sachsa i innych szewców i krawców rymujących za rzemiosło i napisał tragedyę: „Umierający Cato" wedle norm rękodzielniczych, tragedyą będącą do dziś przysłowiowym przykładem głupoty i aroganeyi szkolarskiej mądrości w rzeczach poezyi i sztuki. I jego, Gottscheda, p. Reichel robi największym duchem epoki, w której żyli Klopstock, Wieland, Lessing, Schiller i Goethe!

A co więcej — ma odwagę napisania o Schillerze, że choć jako myśliciel zupełnie był zawisłym od Prusaka Kanta, to przynajmniej jako poeta był samodzielnym i oryginalnym. A o Goethem powiada, że był tylko epigonem, jednak z tak wielkim talentem, że czasem staje się genialnym!

Ta pruska zarozumiałość obudzi może reakcyę. Tymczasem jednak coraz namiętniej odzywa się w niektórych kołach duch zjednoczonych Niemiec, który pragnie koniecznie — jak już wprzód napomknąłem — narodowej literatury. Inaczej zaschłoby jeszcze źródło narodowego entuzyazmu w Niemczech.

A naokół czyhają na to zjednoczone cesarstwo w zrozumieniu patryotów: Duńczyk i Francuz, Rosyanin i Czech i Polak. Przypominać to potrzeba wciąż biednemu ludowi niemieckiemu. Znalazł się też nakładca w Berlinie Hans Lüstenöder, który zdecydował się w roku ubiegłym rozpocząć „wydawnictwo niemieckich pism" z wyraźnym celem podniesienia narodowego uczucia. I teraz wszystkim stanie się zadość: niemieckiemu narodowi, który otrzymuje lekturę, zdolną najziemniejszego handlarza przemienić w gorącego patryotę w ciągu 24 godzin — i księgarzowi, który zbawiennemu niedostatkowi patryotycznej literatury w dotkliwy sposób zapobiegł — przepraszam, chcę powiedzieć, że dotkliwemu niedostatkowi patryotycznej literatury zbawiennie zapobiegł — wreszcie i biednym niemieckim poetom przysłużono się, których twórczość patryotyczna dotychczas była najpewniejszym środkiem nietylko literackiego, ale i finansowego bankructwa.

W wydawnictwie tem okazało się dotychczas 7 czy 8 tomików. Cztery wypełnione są obelgami rymowanemi przeciw Węgrom, Polakom i Czechom! Przeciw Czechom zwła-

---

Przebiegła wzgórze, skąd rozlegał się widok i niskie jej chaty, bielejące na tle zieleni; dym unosił się z kominów a na wieży kościoła odzywał się dzwonek. Z wioski i od pól dochodziły ją wołania pracujących chłopów. Wyraźnie widziała na ogromnym tym czarnym łanie pługi, i w białe płótno ubranych wieśniaków, krających z ciężkim trudem czarnoziem rodzajny.

Widok tej pracy rozrzewnił ją i odwrócił myśl od własnych cierpień, które wydały się jej maluczkie wobec bolu tej ludzkości, zdobywającej w pocie czoła kawał chleba czarnego i słomiany dach nad głową. Eliza niemal zawstydziła się dobrobytu i bogactw swych, zapragnęła z tą pracującą rzeszą połączyć się węzłem braterstwa, stać się im pomocną... Nie wiedziała jeszcze, jak się do tego weźmie i czy w ogóle da się to przeprowadzić nawet — „ale — myślała — poradzę się, zapytam"...

Nagle na zakręcie ścieżki spotkała się twarz w twarz z Brunonem. Zaskoczona tak niespodzianie, przelękła się prawie, lecz, aby nie poznał, że płakała i nie odgadł powodu tych łez, które pragnęła zakopać w najgłębszych duszy tajnikach — uśmiechnęła się i podała mu wiązankę kwiatów.

Pan Bruno pocałował ją w rękę, lecz ściągnął brwi z niezadowoleniem; muszkuły w około ust drgały tłumionym gniewem, a ciemna jego, zmięta cera twarzy przybrała żółty odcień wśród otaczającej go zieleni i kwiatów.

— Cóż za szalone miewasz fantazye! moja droga! — rzekł tonem nagany — wychodzić tak rano do parku i samej! To nie przystoi. Biegasz po trawie... zarosiłaś suknię... włosy masz potargane! Gdyby cię tak kto zobaczył... cóżby pomyślano o tobie? o nas?

— Na szczęście nie ma tu nikogo, prócz nas dwojga — odrzekła Eliza, śmiejąc się — w istocie byłam nierozważną trochę, ale tak mnie upoił poranek ten złoty, błękit, powietrze. Ach, cudownie tu, cudownie! Można doprawdy zapomnieć o sukni i włosach! Dobrze, że cię spotkałam — chodź, proszę, ze mną do parku... zobaczysz, jak jest prześlicznie! A wiele ci mam powiedzieć, bardzom ci wdzięczna, że mię tu przywiozłeś. Czuję, że tu nam będzie dobrze, bardzo dobrze! Wiesz, że cię kocham.

— Doprawdy? — uśmiechnął się pan Bruno, mile pogłaskany tem niezwykłem w ustach żony słowem — doprawdy? Jestem dumny! Ale moja droga, przedewszystkiem trzeba zmienić ubranie... Wyglądasz, wierzaj mi, *comme un leu drillon!* To bardzo poetyczne, ale nawet wobec służby nie przystoi, abyś tak wyglądała.

Eliza jednak była w tej chwili prześliczna, artysta przeniósłby ją żywcem na płótno, stworzyłby z niej obraz przepyszny. Zarumieniona twarz, błyszczące od wzruszenia oczy, kształty ciała doskonałe, rysujące się pod zwilżonym nieco muślinem, uczepione do włosów listki zielone i kwiaty a nawet zroszony brzeg sukni — wszystko to składało się na całość zbłąkanej przypadkiem w lesie królewny lub boginki, co noc przespała w kielichu wodnej lilii.

Pan Bruno nie był jednak widocznie amatorem sielankowych piękności, a dawno już zapomniał o młodości i latach, w których podobne wycieczki poranne z ukochaną kobietą i niespodzianki i szukanie wrażeń świeżych i gruchanie miłosne w chór śpiewającej przyrody, mają urok nieprzepaty! Ach dawno te lata minęły, lub prawdopodobnie nie miał on ich nigdy!...

Dalszy ciąg nastąpi.

szcza zwraca się zajadłość germańska, która krzyczy na wszelkie tony, że ojczyzna w niebezpieczeństwie, że Słowianie ją zalewają. Ten frazes o „potopie słowiańskim" powtarza się na każdej stronnicy. A że na arce Noego dla każdego gatunku zwierząt jest tylko miejsce na jedną parę, tedy wszyscy pruscy narodowcy marnie utopićby się musieli. Daje się więc hasła braciom niemcom! W pierwszym zaraz zeszycie jakiś z nazwiska już niesfałszowany niemiec Karol Gawawałowski w żałosnych rymach opiewa zgon bohaterski niemieckiego bojownika Ramfolda Gorenza, którego „zbójeckie bandy" Hussytów pojmały w niewolę i którego wiodły „krwiożercze" orszaki czeskie na wieży do szturmu na miasto Brüx. Niemcy sami zabijają strzałą bohatera na jego żądanie i odpędzają hordę Żyżki. Naturalnie kochanka bohatera bladolica Kasia umiera z rozpaczy! Ale kraj niemiecki zachowany został przed pijącymi krew kacerzami. (D. n.)

Dr. Henryk Monat.

ZA STO LAT.

(C. d.)

Ważniejsza jeszcze od politycznych granic, to kwestya stosunków międzynarodowych. Przyznać trzeba, iż dziś stosunki te całkiem są barbarzyńskie. Prawo międzynarodowe nie istnieje wcale; prawo wojny jest jedynem prawem międzynarodowem. Czy tak będzie zawsze? odpowiedzieć można stanowczo: nie. Przyjdzie czas, gdy ludzie zrozumieją całę głupotę wzajemnego zabijania się i gdy wojna zostanie zniesioną. Dwie drogi prowadzą do obalenia wojny. Najpierw liczyć możemy na postępy sprawiedliwości i cywilizacyi. Prócz tego wojna stała się dziś tak okropną, iż prawie niemożliwą jest do prowadzenia. Dziś jedna bitwa, trwająca kilka godzin, zadać może śmierć 300 tysiącom. Coraz to nowe ciała wybuchowe wynajdują się i doskonalą. Doskonalenie ciągłe wojny uczyni ję wreszcie całkiem niemożliwą. Wreszcie opinia publiczna międzynarodowa nabiera coraz większego znaczenia i surowo sądzi postępki narodów. Dzisiejsze nienawiści i antagonizmy narodowe uważać możemy za przechodzącą burzę i jesteśmy przekonani (tak przemawia K. Richet), iż z postępem idei demokratycznych zakończą się te zawiści i zazdrości. Może czasem obmyślą trybunał dla sądzenia spraw i zatargów międzynarodowych.

Wiemy, iż postępy materyalne wyprzedzają postępy moralne. Weźmy wynalazek kolei żelaznych. Dziś Paryż odległym jest od New-Yorku o 8 dni drogi, 8 godzin od Londynu, 24 godzin od Berlina lub Wiednia. 3 dni od Petersburga lub Moskwy, 2 dni od Algieru. Podróże, a z niemi i stosunki międzynarodowe stają się coraz częstsze. Za sto lat ziemia cała pokryta będzie siatką kolei żelaznych, statki parowe powiększą swą szybkość, podobnie jak i koleje żelazne, a w r. 1992 można będzie objechać cały świat w przeciągu 40 dni! Żegluga powietrzna stanowczo wynalezioną będzie przed upływem wieku! Stosunki międzynarodowe, dzięki tym różnorodnym i ułatwionym komunikacyom, będą coraz łatwiejsze i ściślejsze. Inne jeszcze czynniki zwiększać będą tę jedność narodów: jedność monetarna i metryczna, termometr stustopniowy, kilogram, litr będą ogólnie przyjęte. Jeśli wyliczenia te mogą być mylne, te jedynie co do lat; jeśli nie w 2000 r., to z pewnością w 2100 zjednoczenie narodów europejskich będzie faktem dokonanym.

Przyjrzyjmy się z bliska tej cywilizacyi 1992 r., tak, jak pojmuje ją Richet. Zaznaczymy olbrzymi rozwój dziennikarstwa; wszyscy obywatele czytywać będą dzienniki, ceny których stawać się będą coraz to niższe. Dzięki ulepszeniom poczt i telegrafów, każdy obywatel wiedzieć będzie, co się dzieje na drugiej półkuli. Praca codzienna stanie się jednym z najważniejszych narzędzi wykształcenia i cywilizacyi. Już dziś spostrzegać się to daje; zwróćmy uwagę, jak dziś w dziennikach europejskich coraz więcej miejsca poświęca się odkryciom naukowym, wynalazkom, hygienie, coraz mniej (? red.) wiadomościom politycznym. Literatura, nauka i historya zapełniają szpalty naszych dzienników najwięcej czytanych.

Strona nadzwyczaj ciekawa przyszłej cywilizacyi, to warunki społeczne i ekonomiczne obywateli.

Od stu lat wyraźnie widzimy zaakcentowaną dążność do równości ekonomicznej wszystkich obywateli, dalecy jeszcze jesteśmy od urzeczywistnienia tego ideału, ale dziś każdy, bogaty czy ubogi, pojmuje potrzebę lepszej organizacyi społecznej.

Czynnik pierwszorzędny postępu społecznego, to sprawiedliwy rozdział bogactw. Należy koniecznie ustanowić podatek od dochodu na korzyść Państwa; podatek ten mógłby się stopniowo zwiększać, tak, iż bogacze powoli pozbywać się będą swych bogactw, a budżet Państwa wciąż będzie wzrastał. Kapitaliści ubożeć też będą, dzięki zmniejszającej się ciągle stopie procentowej. Przed stu laty stopa procentowa wynosiła 7 do 8% (we Francyi), dziś wynosi 3 do 5%, za sto lat nie będzie wyższą nad 1 do 1, 5%. Jeśli zauważymy, iż produkta spożywcze, ubranie, mieszkanie zwiększają swoją wartość, znaczy to, że wartość kapitału zmniejsza się.

Jakiem będzie położenie robotnika za sto lat? Co do robotników wiejskich, to bezwątpienia będą oni wszyscy właścicielami, nie możemy zaś tego powiedzieć o robotnikach miejskich, gdyż ci ostatni wystawieni są na zbyt wiele pokus i wydatków, aby mogli oszczędzać. Robotnicy miejscy stają się coraz liczniejsi, wieś emigruje do miast, za sto lat Londyn może mieć 10 milionów mieszkańców. Otóż robotnicy czując swoją siłę, zrozumieją dobrze, iż stać się mogą panami sytuacyi, urządzając strejki i uchwaliwszy głosowanie ogólne. Z pomiędzy kwestyj społecznych jedna z najciekawszych, to kwestya

DOKTÓR PASKAL

ROMANS

EMILA ZOLI.

I.

W palącem gorącu południa lipcowego — salon, przy starannie zamkniętych okiennicach, pełen był wielkiego i głębokiego spokoju... Od trzech tylko okien dochodziły ku środkowi wąskie strzały światła, przedostającego się przez szczeliny starożytnych framug rzeźbionych, i wśród cienia, roztaczającego się dokoła, łagodna bardzo światłość kąpała w swoich promieniach przedmioty, oblewając je jakimś niewyraźnym i pełnym słodyczy blaskiem. Było to stosunkowo bardzo świeżo w porównaniu z tym uciskającym podzwrotnikowym upałem, jaki panował na zewnątrz, snopami promieni słonecznych rozpalając fasadę.

Stojąc przy szafie, naprzeciw okien, doktór Paskal szukał jakiejś notatki, po którą tu przyszedł umyślnie. Szeroko otwarta ta szafa olbrzymia z drzewa dębowego, pięknemi i poważnemi rzeźbami otoczona, wspaniałemi okuciami błyszcząca, najmniej lat setkę liczyć mogła. W głębiach jej na półkach widniały olbrzymie stosy papierów, akt, rękopisów, notatek w foliałach i na pojedynczych świstkach, pomieszanych ze sobą, skłębionych, zwalonych bez ładu i porządku. Już od lat trzydziestu doktór rzucał tu wszystkie kartki i wszystkie arkusze, które napisał, poczynając od krótkich notatek, aż do całych traktatów o poszczególnych częściach wielkiej jego teoryi o dziedziczności. To też poszukiwanie w tych nieprzebranych masach papierów nie było łatwe. Z całą cierpliwością ćwiartkę po ćwiartce przebiegał oczyma i odkładał, a gdy znalazł nareszcie, uśmiech zadowolenia przebiegł po jego wyrazistej twarzy.

Jeszcze przez chwilę pozostał przed szafą, czytając notatkę pod złocistym promieniem słońca, dochodzącym doń od okna środkowego. On sam z brodą i włosami srebrzysto śnieżnemi, w tem świetle, światło jutrzenki przypominającem, pełen siły i życia, jakkolwiek już do sześćdziesiątki się zbliżał, z twarzą tak świeżą, rysami tak regularnemi, z oczyma, które pozostały jasne i czyste jak u dziecka, ubrany w obcisłą marynarkę z aksamitu ciemno-kasztanowatego, wyglądał jak młodzieniec z włosami silnie pudrem posypanemi.

— Słuchaj no!... Klociu — rzekł nakoniec — skopiujesz mi tę notatkę. Ramond nigdyby się nie doczytał tego mojego pisma przeklętego!...

Podszedłszy kilka kroków, położył papier przed młodą panienką, która stała przy wysokim pulpicie we framudze okna, najbardziej na prawo posuniętego.

— Dobrze mistrzu!.. — odpowiedziała.

Nawet się nie obejrzała, cała zatopiona w pastelu, który właśnie w tej chwili szerokiemi rysami ołówka energicznie kreśliła. Tuż przy niej w wazonie kwitła gałązka malwy pełnej, dziwnego odcienia fioletowego koloru w żółte prążki. Ale widzieć można było wyraźnie kontury małej tej główki owalnej o włosach jasnych, krótko przystrzyżonych — uroczy i zarazem poważny profil, czoło proste zmarszczone nieco przez natężenie uwagi, oko jasno-niebieskie koloru nieba, nosek kształtny, owal równy i pełen wdzięku. Pochylony jej karczek tchnął nieopisaną młodością, świeżością mlecznej białości pod złotem wijących się u góry szyjki loków. Ubrana w długą bluzkę czarną, wyglądała jak gdyby bardzo wysoka, szczupła, z piersią drobną, figurką wątłą, tą wątłością wysmukłą boskich postaci z epoki Odrodzenia. Pomimo swoich lat dwudziestu pięciu,

armij stałych. Jeśli w r. 1992 kwestya wojskowa nie zostanie jeszcze rozstrzygniętą, jeśli pokój zbrojny istnieć będzie, to tylko czasowo; w każdym razie kwestya ta poruszaną będzie na seryo.

Głosowanie ogólne, podatek postępowy i proporcyonalny od dochodu, zniesienie armij stałych, ustanowienie trybunałów międzynarodowych, wolność syndykatów i strejków, wykształcenie obowiązkowe i ogólne, wszystko są to wymagania demokracyi, a ponieważ będzie ona wszechwładną, otrzyma, co zechce. Wobec tego, że fizyologiczne potrzeby człowieka zmieniają się mało, zatem za sto lat człowiek będzie konsumował tę samą ilość węgla, azotu i wodoru, co i dziś, czyli czerpać głównie będzie pożywienie nie z ziemi. Ale człowiek końca XX wieku odżywiać się będzie lepiej i obficiej, niż człowiek dzisiejszy; porównajmy nasze jedzenie z jedzeniem chłopa francuskiego XVII wieku. Co za różnica! w r. 1992 ilość spożytego mięsa, chleba, piwa, wina, kawy zwiększy się znacznie (licząc przeciętnie na każdą jednostkę). Ziemia najzupełniej podoła nowemu wysiłkowi. W Afryce i Ameryce są olbrzymie przestrzenie, leżące dziś odłogiem, w Europie zaś ziemia stanie się żyźniejszą. Na większych obszarach ziemi uprawnej będzie bydła domowego znacznie więcej, niż obecnie. A więc nie mamy najmniejszego powodu niepokoić się co do odżywiania ludzi XX. wieku. odżywiać się będą lepiej od nas, nawet, gdyby ludzkość zwiększyła się dziesięć razy.

Przemysł robi szybkie postępy i będzie się wciąż doskonalił. Mamy jedno źródło siły: węgiel. Otóż możemy być spokojni, za sto lat będzie go jeszcze pod dostatkiem. Być może także, że człowiek pomyśli o zużytkowaniu nowego źródła siły. Trzy są źródła siły, na jakie człowiek liczyć może: siła słońca, siła spadku wody i morza i siła ciepła wewnętrznego ziemi. Siła słoneczna nagromadziła się w węglu, skąd ją wydobywamy i być może w przyszłości będziemy mogli zużytkować siłę słońca, w sposób bezpośredni, nie potrzebując szukać węgla i wodoru w roślinach, stanowiących pokłady węglane. Może taką samą reakcyę chemiczną potrafimy wykonać sami. W każdym razie siła wodospadów będzie zużytkowaną, spadki wody będę nader ważnym motorem, produkując elektryczność; światło elektryczne zastąpi gazowe i tym sposobem zaoszczędzi się węgla. Pomimo tego węgiel pozostanie jeszcze głównem źródłem siły. Machiny parowe mniej będą używane, elektryczność zapanuje wszechwładnie, w użyciu będą wagony, tramwaje, welocypedy elektryczne. —

Co się stanie ze s z t u k a m i i l i t e r a t u r ą? (D. n.)

J. Jot.

AKKORDY.

I.

Chociaż od ciebie wieje chłodem
Choć uczuć moich nie rozumiesz
Choć duszę masz, jak kamień zimną
I czytać w myślach mych nie umiesz
Ja ciebie kocham.

A gdy z tęsknoty kiedyś umrę
I martwa leżeć będę w grobie
Przyjdź wówczas, ja z mogiły wstanę
Trupiemi usty powiem tobie,
Że ciebie kocham.

II.

Zimny deszcz spłukuje ziemię,
Wiatr w okna kołacze,
Może to nad mą niedolą
Wiatr jęczy, deszcz płacze.
Co mi wiatru jęk pomoże,
Co deszczu płakanie,
Kiedy miły mój daleko,
Bez jutra kochanie!

III.

Mnie los tu przykuł, życie mi się snuje
Jak szara przędza pająka;
Tylko myśl wolna, co więzów nie czuje
Po innych światach się błąka.

Gdy dusza twa melodyą uskrzydlona
W mój raj nieziszczony ulata,
O wspomnij na mnie, której serce kona
Tęskniące z tych nizin świata.

Sylwia Tygier.

CZY WARTO?

„To be or not to be, that is the question". *Shakspeare, Hamlet.*

20 września 18.., godzina 1 popołudniu.

Chcę umrzeć dobrowolnie. Wiem dokładnie, co popełniam; nie jestem „oszołomiony", ani to nie jest chwilowa jakaś chimera. Tak się stać musiało.

Będzie temu ze dwa miesiące, jak spakowałem moje pamiątki w jeden arkusz — bez wyraźnego zamiaru. Rozsypywały mi się ciągle. Dziś nie mogłem znaleść stosowniejszego dla nich miejsca, jak ta właśnie teka, w której je zostawiam. Złożyłem je tam wszystkie, uporządkowałem chronologicznie; teka nie dała się zamknąć u góry — ona przedstawia wam obraz prawdziwych mych pamiątek. Pełna i szeroka u spodu, zwęża się ku górze, w szczycie nie zamknięta, chyba przemocą da się zawrzeć w ostrej krawędzi! Tak samo i moje życie, moje krótkie, spaczone życie.... Szerokie i pełne z początku, w dzieciństwie, zmniejszało swój widnokrąg coraz bardziej, aż dziś — przed mojem okiem zionie otwarta przepaść, która tylko da się zamknąć sztucznie, moją ręką — ostro, kańczasto! — Za dużo się w niem mieści, jak w tej tece, pamiątek, co je rozsadzają.

Chcę się tylko jeszcze obrachować ze sobą. Czemu się zabijam? Czemu niszczę w samym kwiecie ten proces powolnego obumierania nagle — skoro wiem, że on się skończyć musi? Czemu pozbawiam kulę ziemską istoty,

---

pozostała świeżutką jak dziecko i wyglądała zaledwie na lat ośmnaście.

— I potem — dodał doktór — uporządkuj mi trochę w szafie... Już nic w niej teraz odszukać nie mogę...

— Dobrze, mistrzu!... — powtórzyła, nie podnosząc głowy. — Zaraz to zrobię.

Paskal odszedł i usiadł przy swojem biurku na drugim końcu sali, przy oknie z lewej strony. Był to prosty stół z drzewa czarnego, także cały zarzucony papierami i broszurami rozmaitego rodzaju. I cisza znowu zapanowała. ten spokój głęboki w półcieniu i chłodzie, tuż obok szalonego na dworze upału. Obszerny ten pokój, długi z jakie dziesięć metrów, szeroki sześć — oprócz szafy i biurka nie miał innych mebli, jak tylko dwie długie szafy biblioteczne, szczelnie książkami wypełnione; krzesła i fotele starożytnego fasonu rozrzucone były tu i owdzie po pokoju, widocznie stałych swoich miejsc nie mając. Za całą ozdobę, na ścianach, wybitych szarem obiciem papierowem w stylu cesarstwa z pasami, rozwieszone były pastele w dziwacznych kolorach, które teraz w tym cieniu rozróżnić było trudno. Odrzwia trzech wysokich drzwi podwójnych, z których jedne wychodziły na przedsionek, drugie do pokoju doktora, trzecie wreszcie do pokoju Klotyldy na dwóch przeciwnych skrajach salonu — datowały z czasów Ludwika XV; tak samo jak i szeroki zakopcony gzems sufitu.

Godzina tak minęła bez jednego wyrazu, bez jednego szmeru. Potem Paskal, dla chwilowego odpoczynku w pracy, zerwał opaskę z dziennika „*Temps*", porzuconego na stole, i rzuciwszy nań okiem, zawołał z pewnem zdziwieniem w głosie:

— Patrzno!... ojciec twój został mianowany dyrektorem „*Epoki*"... wiesz, tego wielkiego dziennika republikańskiego, który wielkie powodzenie rokuje... tego, w którym się drukują „tajemne akta tuileryjskie"...

Wiadomość ta była dlań widocznie nieprzewidzianą, gdyż śmiał się szczerym śmiechem, w którym czuć było zadowolenie i pewien smutek zarazem, i pół głosem mówił dalej jakby do siebie:

— Słowo honoru daję!... żeby sobie kto mózg nad tem wysuszył, niczby wspanialszego nie wymyślił!... Życie jest nieskończenie ciekawe!... O!... to jakiś artykuł bardzo zajmujący...

Klotylda nie odpowiedziała ani słowa, jakgdyby była o sto mil oddalona od tego, co mówi jej stryj. I on też zamilkł. Przeczytawszy artykuł, wziął nożyczki, wyciął go, nakleił na arkusz papieru i obnotował grubem swem pismem nieregularnem i nieczytelnem. Potem wrócił ku szafie, chcąc w niej w właściwem miejscu umieścić tę nową notatkę; ale musiał wejść na krzesło, najwyższa bowiem półka była tak wysoka, że, pomimo swego wzrostu, nie mógł do niej dosięgnąć.

Na tej wysokiej półce rozłożone były szeregiem w wyjątkowym porządku całe serye akt, systematycznie uklasyfikowanych. Były to dokumenty wszelkiego rodzaju — arkusze zapisane, akta na papierze stemplowym, artykuły dziennikarskie. wycięte i obnotowane, poukładane razem w okładkach z grubego papieru niebieskiego, z których każda nosiła na sobie jakieś nazwisko, wielkiemi literami wypisane. Widocznem było, że dokumenta te były utrzymywane ze szczególną pieczołowitością, ciągle dopełniane, ciągle przeglądane i starannie na swoje miejsce układane, gdyż z całej szafy ten jeden kącik był porządnie utrzymywany.

Gdy Paskal, wszedłszy na krzesło, znalazł na owej półce akta, których szukał, można było zobaczyć na okładce najbardziej wypełnionej wypisane nazwisko „Saccard". Do tego grubego tomu dołożył on nową notatkę i złożywszy akta, położył je na miej-

którąby tyle dla niej dobrego zrobić jeszcze mogła? Ale i złego — i złego!

Jako dziecko rozumiałem wszystko, co mi pokazywano. Wszystko! To nie fałsz, ani niedorzeczność, ani nawet przesada! Bo czego nie mogłem zrozumieć, o tem starałem się zaraz zapomnieć i naprawdę zapominałem wkrótce. Od najmłodszych lat, skoro tylko pojąłem związek przyczyn ze skutkami, i gdy to prawo przyczynowości zajaśniało mi jak gwiazdka świetlana przed oczyma, — starałem się dojść każdej rzeczy najdokładniej. Nie mogłem, tak jak tylu chłopców, ograniczyć swej chęci wiedzy jakimś dogmatem. Przez ciągłe wypytywanie stałem się dla mego otoczenia niewygodnym. Okłamywano mnie więc wszędzie; w domu często zbywano szablonową odpowiedzią: „Tego ty nie rozumiesz", „To nie dla ciebie"; nauczyciele wykładali swe dyscypliny z namaszczeniem, a gdy się dopytywałem o szczegóły, karali za zuchwalstwo, albo przekonywali, że naprzód muszę to, co dotychczas słyszałem dobrze zrozumieć — albo tysiącznymi innymi zbywali mnie wykrętami. Dlaczego mnie nikt nie rozumie? pytałem sam siebie. Przeczuwałem zresztą, że mnie okłamują; ci sami nauczyciele, którzy podczas lekcyj wpajali we mnie zasady wstrzemięźliwości, pracy i bogobojności, upijali się i włóczyli całe noce. Kiedy mi wdziewano ciasne, a modne ubranie, a ja płakałem — to wszyscy jednogłośnie zapewniali mnie, że tak być musi, że to jest właśnie tak dobrze! Oniemiałem wtedy z podziwu; wydało mi się to bardzo, bardzo nienaturalnem! Sądziłem, iż wszyscy pocieszać mnie będą — a oni mnie namawiali!! Rozmaite takie rażące sprzeczności naprowadziły mnie wreszcie na myśl, że mój mały, dziecięcy umysł miewał racyę i że dla chwilowej dogodności, albo dla jakichkolwiek innych drobnych skrupułów poświęcano moje najświętsze, najgłębsze przekonania, wyrobione przeważnie z nauk, które przez tychsamych ludzi były we mnie wszczepiane. Stąd wyradzała się we mnie niewiara w przywiązanie i rozum ludzi; zacząłem być sceptykiem i wyrabiać sobie własną siłą umysłu sąd o wszystkiem. Długo bardzo trwało, zanim przyzwyczaiłem się, brać ze zdań mego otoczenia, co było prawdą, a odrzucać wszystko, co było tem codziennem, ładnie upstrzonem kłamstwem, a o czem mówiący przeważnie sami nie zdawali sobie sprawy.

Przechodziłem dotąd tyle i tak rozmaite fazy, że uchwycić je teraz w chronologicznym porządku jest wprost niemożebnem; zanim skończyłbym je opisywać, mógłbym przejść znowu w jakąś nową fazę. Mimo chęci pozostanie więc to moją wyłączną tajemnicą i zaginie wraz ze mną. Ja sam nawet zapominam ich następstwo i dokładny opis. Kilka z nich przynajmniej podam nad to, co już napisałem.

Nie wiem, czy ktoś doznał tego strasznego uczucia: patrzeć na wzrastające swoje ideały, i widzieć, jak stopniowo jeden za drugim rozwiewa się w nicość. Każdemu z czasem nikną z przed oczu ideały — bo ich niema; ale to stopniowanie z chwili do chwili, ta kolejność nieubłagana.... Jestto coś w rodzaju „Ojca zadżumionych". Nie słyszałem, nie czytałem o tem nigdy, a doświadczałem sam na sobie. Było to tak: Mimo przekonania o tem, że mnie często mistyfikują, nie wpadłem jednak odrazu w zwątpienie. Wyobrażałem sobie zawsze, gdy mi mówiono, jak trzeba być szlachetnym, odważnym, ofiarnym: — że istnieją jakieś tych cnót pierwowzory, jakieś nieposzlakowane istoty, od których cały ten blask rozchodzi się po ludziach. Każda z tych istot wedle mego pojęcia w innym rodzaju była doskonałą. Pragnąłem też stać się takim, albo podobnym. W szeregu lat wytworzyłem sobie zawsze jakiś ideał doskonałości, do którego duszą modliłem się ciągle; nagle jeden poranek, jeden spacer, jeden widok, myśl przelotna, książeczka przeczytana, rozdzierała go. Nie wiem, czemu to przychodziło tak nagle. Byłem w takich chwilach smutny, zadumany. „Co będzie, jak wszystko pierzchnie!" myślałem; nie odważałem się jednak nigdy na zakończenie myśli tej. Zawsze zrywałem się i mówiłem sobie: „Nie! Ten ideał, o którym właśnie przekonałeś się, że go niema — nie był właściwym, ku któremu masz dążyć, ale inny, inny!" Zwykle, zawsze nawet po takiem przesileniu otwierały mi się nowe drogi, dążenia. Zawsze myślałem, że zboczyłem z drogi. Na wszystko zgodziłbym się był, modelowałbym i przestawiałbym te ideały, w razie potrzeby byłbym burzył chętnie stare, a nowe żmudnie klecił, wszystko byłbym przypuścił, — ale że takich ideałów niema zupełnie, niema...!! Dreszcz grozy przenika mnie za każdym razem, skoro pomyślę o takiej Nirwanie! Ich niema! Niema! Dokąd goniłem? Dokąd jeszcze gonię? Po co wdycham i wydecham powietrze? Po co mi serce bije?

Widząc przed sobą tyle ideałów z początku, chciałem sam stać się ideałem człowieka. Prawie, że mogłem się nim stać, bo byłem i jestem zdolny i zdrów. Ale ja się nim nie stałem, bo — jestem tylko słaby, nikczemny, mizerny człowiek, bo — moje nerwy nie są ze stali, a nad chwilowemi wrażeniami panować mogę nie zawsze. Co za nędzne urządzenie, co za pospolity zlepek ten „arcytwór", ten „półbóg", czy jak tam nazywają człowieka! Zdaje mu się, że silny — a jego nerwy panują nad nim tak często; zdaje mu się, że dobry, — a dla swoich wygód i poglądów gotów poświęcić wszystko! Cała nasza cywilizacya umysłowa — taż to igraszka naszych nerwów! Wiem, wiem o tem. Niechże dziś kto spróbuje odwieść mnie od tego przekonania, niech mnie zaczepi, a znajdę dlań tylko uśmiech politowania i wzgardy nad jego zaślepieniem, że nie widzi dalej poza koniec swego nosa — albo nad jego naiwnością, jeśli sam nie wierząc, mnie chce przekonać.

Ciekawe było to moje wychowanie. Od dzieciństwa wpajano mi tak zwane „złote myśli", „piękne zdania", mową, pismem, drukiem — nikt zaś nie dbał o to, czy znam ich praktyczne, codzienne zastósowanie, czy znam ich głęboką, prawdziwą wartość. N. p. mówiono mi: „Staraj się być naturalnym

---

scu pod właściwą literą. Chwilkę jeszcze jakby zapominając się, pozostał na krześle, poprawiając porządek na pułce i zabezpieczając stosy papierów, aby się ze sobą nie mieszały. Nareszcie zeskoczył z krzesła.

— Pamiętaj, Klociu?... — rzekł — jak tu będziesz porządkowała, nie zaglądaj czasem do tych akt tam na górze.

— Dobrze, mistrzu!... — odpowiedziała po raz trzeci łagodnie i posłusznie.

On śmiać się zaczął znowu serdecznie, śmiechem naturalnym, jego wrodzonej wesołości właściwym.

— Tego nie wolno!...

— Wiem o tem, mistrzu...

I zamknął szafę energicznem przekręceniem klucza, następnie rzucił go do szuflady swego biurka na zwykłe miejsce. Młoda panienka była doskonale obznajmioną z jego badaniami, aby mogła istotnie uporządkować nieco te stosy rękopisów, notatek i aktów, używał jej chętnie za sekretarza swego, często ją prosił o skopiowanie jakiegoś wyciągu, gdy kolega jego i przyjaciel, doktór Ramond, żądał jakiegoś objaśnienia, wywodu, lub dokumentu. Ale nie była ona uczoną w przesadnem znaczeniu tego wyrazu, i Paskal poprostu zabraniał jej czytać tego, co mu się wydawało dla niej niepotrzebnem.

Jednakże ta szczególnie natężona uwaga, w jakiej ją widział pogrążoną i jaka jej odpowiedzi tak lakonicznemi czyniła, zdziwiła go i zatrwożyła.

— Cóż ci się znowu stało, moja droga, że tak skąpa jesteś na wyrazy? Czy malowanie tego kwiatka tak cię pochłania zupełnie?...

Był to jeszcze jeden rodzaj pracy, jaką jej często powierzał, rysunki, akwarele, pastele, które potem dołączał jako ilustracye do swoich dzieł, Tak oto, od lat pięciu robił on doświadczenia bardzo ciekawe nad całą kolekcyą malw podwójnych, nad całą seryą nowych zabarwień, otrzymanych przez sztuczne zapładnianie. Do tych właśnie kopij artystycznych z natury dokładała ona bardzo wiele starań, dokładność rysunku i naśladowanie odcienia bywało nieporównane tak dalece, że Paskal wydziwić się nie mógł nietylko tej szczególnej zdolności, ale i tej nadzwyczajnej „uczciwości" — jak on to nazywał. Pieścił Klotyldę i mówił o niej, że ma „poczciwą dobrą główkę, okrągłą na karku, porządnie i solidnie osadzoną".

Ale tym razem, zbliżywszy się i spojrzawszy jej przez ramię, wykrzyknął ze zdziwienia, w którem dziwna jakaś komiczna wściekłość się odbijała.

— Ach!... ty bazgraczko mała!... Już cię coś poniosło i poleciałaś w krainy zaświata — niebywałe i nieznane!... Podrzyj mi to natychmiast!...

Podniosła główkę, policzki jej się karminem zabarwiły, w oczach pałał ogień namiętnego przejęcia się swojem dziełem, jakby ogień natchnienia jakiegoś. Paluszki jej długie i cienkie powalane były na czerwono i niebiesko farbami, których używała.

— O!... mistrzu!...

I w tym wyrazie „mistrzu!" tak pełnym uległości i tak pieszczotliwym, w tej denominacyi, czy w tym tytule, posłuszeństwo jej znamionującym, jakiego w rozmowie z nim używała, zamiast tytułu stryja czy ojca chrzestnego, które jej się zbyt błahemi wydawały, czuć było po raz pierwszy jakiś ogień buntu, zaznaczenie pewnej siły przez istotę, która się czuje sobą i chce sobą zostać.

Dalszy ciąg nastąpi.

i nie goń za fałszywym blaskiem", „Szczęście doczesne jest nietrwałe", „Najwyższym skarbem jest cnota". „Kochaj bliźniego jak siebie samego", „Słuchaj rodziców i nauczycieli, bo oni tylko twe dobro mają na względzie" i inne szablonowe nauki — do zupełnego znudzenia. Te same zdania czytywałem jako sens moralny przy końcu opowiadanych ustępów w wypisach, te same tłómaczyłem na język łaciński i grecki. Bywały dzieci w moim wówczas wieku, które wcześniej już nauczyły się ignorować takie mentorstwa. Tłómaczyły i mówiły, aby się wyćwiczyć w tłómaczeniu i mówieniu — ja nie mogłem. Na mnie to czyniło wrażenie jak najgorsze. Wszystkie te bowiem przestrogi wykonywałem jeszcze zanim doszły mych uszu — sam, bezwiednie, będąc małem, niezepsutem dzieckiem skromnych i pracowitych rodziców — całkiem naturalnie. Gdy mnie więc nawiedzały tym podobne nauki, nietylko ze strony nauczycieli i głupiego elementarza albo wypisów, ale nawet od rodziców, którzy pewnie nie zastanowili się dokładnie, co robią, — to z początku wydawały mi się takie przestrogi dziwnemi, niezrozumiałemi; później, gdy mi wszyscy, zwłaszcza ojciec, gorączkowo przypominali, że to nie są „puste słowa", tylko, że tak postępować muszę, muszę, choćbym się miał pokonać — wtedy zrobiło mi się bardzo smutno! Rozumiałem stąd, że zapewne jestem niepoczciwym, skoro aż takich nauk i walk potrzeba. Płakałem, rozmyślałem długo sam, pragnąc stać się dobrym. Postanowiłem słuchać tych zdań w praktyce bardzo dokładnie, na każdym kroku. Szacunek nakazany dla pewnych osób doprowadzałem do absurdum; uważałem je za wyrocznie i gwiazdy przewodnie. Zadanie n. p. miłości bliźniego było mi już łatwiejsze; potrzeba było tylko wcielić się w ich radość, ból i nadzieję zupełnie, zapomnieć o sobie. Wykonywałem to forsownie, głuchym będąc na jakiś głos wewnętrzny, czy przekonanie, który mnie napominał, że zapomniawszy o sobie, winienem wedle tejżesamej reguły i o bliźnim zapomnieć. Czułem, że źle myślę, źle postępuję. A wszak to było tak, jak mi kazano? Łamałem się ze sobą długo w tym dylemacie. (D. c. n.)

HENRYK JARECKI

I JEGO „BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA".

Scena lwowska w dzisiejszym stanie teatru polskiego jest na drodze do zajęcia pierwszego miejsca: Warszawa z przyczyn politycznych zniża ustawicznie swój poziom i ścienia horyzont; Kraków obejmuje wyłącznie tylko dramat i komedyę, więc nie może dać pełnego obrazu sztuki, — dopiero Lwów, jako miasto duże i posiadające teatr wielki, przedstawia warunki dla rozwoju sceny odpowiednie. Szybki też postęp daje się tutaj spostrzegać zarówno w dramacie jak operze, a postęp ten sprawia, że teatr zyskuje coraz szersze powodzenie: publiczność, dotąd względem sztuki obojętna, zaczyna uczęszczać do teatru tłumnie i gorąco rzeczy artystyczne przyjmować. Przyszłoroczna wystawa krajowa jeszcze wyżej podniesie teatr hr. Skarbka, wzmocni jego wpływ i materyalnie uczyni go niezależnym. Jesteśmy o tem najgłębiej przekonani.

Pomiędzy tymi, co najwytrwalej i najskuteczniej pracują nad dobrem sceny lwowskiej, co swoim talentem i wiedzą służą sztuce narodowej wiernie i z poświęceniem — jedno z miejsc naczelnych zajmuje dyrektor opery i operetki. Jest to indywidualność bardzo wybitna i bardzo sympatyczna: jako kompozytor imię swe wsławił szeregiem dzieł niepospolitej piękności, —jako człowiek, zdobył miłość całego otoczenia i szacunek powszechny.

Artysta prawdziwy, pełen wielkiego przywiązania do sztuki, nie posiada on w sobie żadnych osobistych, małostkowych zawiści, ani fałszywej ambicyj. Chce pracować dla piękna i zasadzie, jaką artysta wyznawać musi, jest wierny: tylko dobro sztuki ma na celu, nie oglądając się na uboczne względy. Dlatego doszedł Jarecki prawdą i pracą do stanowiska, które obecnie w świecie artystycznym zajmuje, i do tego szacunku, jaki ku sobie powszechnie budzi; dlatego dzieło, które obecnie stworzył, wywołało takie sympatyczne echo u krytyki oraz publiczności.



Henryk Jarecki.

Barbara Radziwiłłówna, opera w czterech aktach z prologiem, na scenie lwowskiej po raz pierwszy dnia 18 marca b. r. wystawiona, jest dziełem niepospolitego talentu, który, opierając się na głębokiem zrozumieniu muzyki nowoczesnej, wydał z siebie utwór, przeniknięty nawskroś pierwiastkami najnowszej doby i świadczy, iż kompozytor zdaje sobie sprawę z wymagań obecnych i umie doskonale używać dzisiejszych środków do osiągnięcia dramatycznego wyrazu, a przezeń silne potrafi wywoływać efekty i potężne wrażenie.

Utwór Dominika Magnuszewskiego posłużył Jareckiemu do ułożenia libretta, które jednakowoż jest słabą stroną opery. W librecie razi mnie przedewszystkiem brak wszelkiego polotu, chłód i proza w traktowaniu rzeczy. Sytuacye są dobre, tylko szczegóły i obrobienie pozbawione jest wdzięku i poezyi.

Ale muzyka pokrywa te braki i sprawia, że Barbarę widzimy uroczą, że inne postacie są albo pełne charakteru dramatycznego i grozy, jak Bona, albo sympatyczne, jak Zygmunt August, albo bohaterskie i silne, jak Gasztołd. Zbiorowe sceny zawierają w sobie powagę i niejednokrotnie wstrząsają słuchacza

Na tle przepysznie opracowanej instrumentacyi rozwija się akcya dramatu i występują solowe i chóralne partye. Tytułowa rola należy do najpiękniejszych części opery. Barbara jest kreacyą poetyczną, z umiłowaniem odtworzoną przez mistrza.

Od wejścia na scenę, kiedy Barbara prosi Bony o to, aby królowa pozwoliła swemu lekarzowi ratować Gasztołda, od tego pierwszego spotkania z Zygmuntem, wyrażonego ładnie kilku taktami uczuciowej melodyi, bohaterka wzrusza i zaciekawia. Królewicz kocha już Barbarę, idzie odwiedzić Gasztołda i tu następuje prześliczny duet pomiędzy dwojgiem ludzi, przeznaczonych dla siebie. Barbara broni się uczuciu, które jej pierś zalewa mimowoli nieznaną dotąd błogością. To szczęście i radość świetnie maluje Jarecki w śpiewie tęsknym i głęboko wnikającym w serce. Cała partya bohaterki ujmuje szczerością natchnienia i prawdziwą prostotą.

Zygmunt August wychodzi bardzo plastycznie w interpretacyi Jareckiego. Kompozytor nadzwyczaj trafnie przedstawił za pomocą środków wokalnych romansowy początkowo charakter królewicza, który chętnie uprawiał pod okiem matki różne z włoszkami miłostki. Dopiero prawdziwa miłość zmienia jego usposobienie: Zygmunt nabiera stałości, umie osiągnąć cel i wprowadza na tron Barbarę. Muzyka to usposobienie ilustruje wybornie. W pierwszym akcie, Zygmunt flirtuje z damami dworu i zdobywa ich serca. Chór masek, śpiewających ślicznego walczyka, doskonałe daje tło tym *recitativom*, które stanowią dyalog scen początkowych. Jedno rzucenie wzroku na poważną a piękną Barbarę wystarcza, aby się Zygmunt zmienił do niepoznania. Odtąd serce jego bije goręcej, a pragnienia mają wielką siłę i wytrwanie. Jednym z najpiękniejszych ustępów — kto wie nawet, czy nie najpiękniejszym ze wszystkich, — jest romans Zygmunta w drugim akcie. Arya ta,—to perła całej opery i punkt kulminacyjny solowych partyj, jak znowu ze scen zbiorowych najpyszniejszy jest finał trzeciego aktu, wspaniały chór: *Dies irae* przy prowadzeniu zwłok Zygmunta Starego.

Bona wypukło się rysuje na tle całości i odrębną swą charakterystyką odbija ciekawie od ogólnego tonu. Muzyka odtwarza ją stylowo, z tym namiętnym wyrazem południowego temperamentu, który cechował naturę żony Zygmunta Starego. Partya Bony ma w sobie nadto wiele obok namiętności rysów ironii i sarkazmu, dopełniających wizerunku mściwej kobiety.

Pięknie naszkicowany jest profil Gasztołda. Niedługa to rola, a przecież wraża się dobitnie w naszą pemięć. Ogień, z jakim umierający Gasztołd zachęca Zygmunta do spełnienia obowiązków króla, nadają tej części opery piętno podniosłe i prawdziwie wielkie. Marzenie o kniejach litewskich, wyrażone w formie poloneza, jest istotnie wspaniałe i silne.

Z drugorzędnych figur zwraca na siebie najpierw uwagę postać dowcipnego Stańczyka. Krótkim, urywkowym śpiewem przeplata on wybornie inne ustępy i zostawia po sobie ślad, który urozmaica akcyę i wnosi w nią element ironii serdecznej. W ogóle Stańczyk należy w operze do figur najlepiej pomyślanych i najlepiej wykonanych.

Doktor Montjo reprezentuje czarny charakter ponurym śpiewem, jak i ponurym wyglądem.

Sylwetki Radziwiłła, Górki i Kmity, oraz grono senatorów i szlachty składają się na zbiorowe ciało, nadzwyczaj w operze ważne i pełne tu głębokiego interesu. Chóry w „Barbarze" traktuje Jarecki z szczególniejszem

zamiłowaniem. Są to wszystko efektowne sceny, które posiadają w sobie znamiona wysoce dramatyczne, świadczące o niepospolitym talencie kompozytora.

Orkiestra wielką odgrywa w „Barbarze Radziwiłłównie“ rolę i stanowi integralną część opery. Idąc z duchem czasu, nadał Jarecki orkiestrze to pierwszorzędne w dziele miejsce i tchnął w nią wiele zapału i ognia. Nic też w akompaniamencie niema pospolitego ani banalnego.

Co może razi pod koniec opery, to niepotrzebnie, mojem zdaniem, wprowadzany mazur. który tańczą przed królem. Jest to anachronizm nieumotywowany niczem i zbyteczny. Prawda, że ten mazur Jareckiego jest bardzo piękny i że go z przyjemnością się słucha, lecz tutaj nie jest on na miejscu.

Wykonanie i wystawa opery przynosi zaszczyt teatrowi lwowskiemu. Doskonałą interpretatorką Barbary jest pani Pawlików—Nowakowska, która łączy w tej partyi dramatyczność i stwarza śliczną postać nieszczęśliwej bohaterki. Szlachetna gra, powaga w dykcyi i ruchach, a przedewszystkiem wyborny śpiew, zjednały wysoce utalentowanej artystce huczne, zasłużone oklaski.

P. Myszuga trudną, męczącą partyę Zygmunta Augusta wykonał z uczuciem i tym niezrównanym sentymentem, który porywa i entuzjazmuje.

Bonę śpiewała po włosku w sposób klasyczny panna Bellincioni. Partyę tłómaczył dla niej umyślnie prof. Wysocki. Sympatyczna artystka owładnęła rolą doskonale, nie szczędziła pracy i przygotowała się do interpretacyi bardzo sumiennie. Należy się jej za to gorąca pochwała.

Przepysznie śpiewał Gasztołda pierwszy baryton lwowskiej opery. p. Bernhardt. Artysta ten, obdarzony ślicznym, metalicznym głosem, wywiera zawsze wielkie wrażenie, bo traktuje partyę z zapałem, temperamentem, nie szczędzi siebie, ale wkłada w rolę całą duszę.

Małą partyę doktora Montja odśpiewał bardzo dobrze p. Jeromin.

Inni artyści, jako to: pp. Zegarkowski, Kiczman, Gasiński, Bogucki, oraz panie: Radwan i Skalska, wywiązali się z swych zadań bardzo pomyślnie. Chóry i orkiestra pod ręką dyrektora-kompozytora sprawiały się karnie.

Jeszcze słów parę powiedzieć muszę o świetnej wystawie „Barbary Radziwiłłówny.“ Dyrekcya nie szczędziła kosztów i niemałego nakładu pracy, aby to oryginalne dzieło wypadło pod każdym względem wspaniale. Dekoracye, meble, oświetlenie, ubiory, — wszystko było niepospolicie piękne i efektowne. Nic też dziwnego, że „Barbara Radziwiłłówna“ — wobec takiej wartości wewnętrznej i reprezentacyi zewnętrznej — święciła tryumf prawdziwy i zasłużony.

Adam Dobrowolski.

Lwów, w kwietniu 1893 r.

Z DZIEDZINY WYNALAZKÓW.

NOWE PANCERZE.

Jednocześnie z udoskonaleniem broni palnej, zwiększeniem siły przeboju pocisków karabinowych i armatnich, duch ludzki wysilał się na wynajdowanie środków, mogących ochronić człowieka przed morderczością nowej broni. Wszystkie te wysiłki dotychczas wydały rezultat negatywny, ujawniający się pomiędzy innemi w zniesieniu we wszystkich prawie armiach europejskich pancerzy, któremi do niedawna jeszcze była pokryta część jazdy, t. zw. kirasyerzy. Przekonano się, że te pancerze nie zapewniają żadnej ochrony przed kulami dzisiejszych karabinów, a natomiast wskutek swego ciężaru, krępują swobodę ruchów jeźdźca i konia. Pomimo to nie ustawały próby nad wynalezieniem kompozycyi, lżejszej od żelaza lub stali, a chroniącej żołnierza przynajmniej przed kulami karabinowemi. Administracye też wojskowe wszystkich niemal pierwszorzędnych mocarstw, bywają formalnie zasypywane najrozmaitszemi tego rodzaju wynalazkami. które jednak wszystkie okazały się nieprzydatnemi w praktyce i spowodowały uzasadniony sceptycyzm sfer wojskowych wobec tych wynalazków.

Dopiero wynalazek krawca Dove'go z Manhejmu, zwrócił na siebie baczniejszą uwagę sfer wojskowych całago świata. Temu wynalazcy udało się bowiem skonstruować pancerz, nie przepuszczający, jak wykazały liczne próby, drobnokalibrowych kul niemieckich, przebijających bez trudności 6-milimetrowe płyty żelaza, lub ciała kilku stojących po zą sobą żołnierzy. Skład masy, z której wyrobiony jest pancerz, stanowi, rzecz jasna, tajemnicę wynalazcy. O ile jednak sądzić można z objaśnień wojskowych niemieckich, uczestniczących przy próbach z nowym pancerzem, jest to masa cementowa, przeplatana siatką drucianą, stawiająca nadlatującej kuli opór, czysto mechaniczny, nie, jak sądzono początkowo, chemiczny. Przy uderzeniu o pancerz, odlatuje stalowy płaszcz kuli, a ołowiane jądro spłaszcza się, nie przebijając pancerza.

Wiadomość o tym wynalazku powitano wszędzie z jak największem zadowoleniem i już odzywają się głosy, zapowiadające nową epokę w dziejach powodzenia wojny, w której straty w ludziach będą ograniczone do minimum. Nadzieje te należy uważać za przedwczesne. Najpierw bowiem nie stwierdzono jeszcze absolutnej siły pancerza Dove'go przeciwko kulom karabinowym, a powtóre, choćby nawet tak było, kwestyą jest jeszcze, czy niedogodności tego wynalazku nie przewyższą jego korzyści.

Przedewszystkiem należy zważyć, że od dość już dawnego czasu, najinteligentniejsi wojskowi wszystkich niemal narodów, łamią sobie głowę nad wynalezieniem środków, mogących ulżyć obciążeniu dzisiejszego piechura i w ten sposób zapewnić mu większą swobodę ruchów. Gotowy do boju piechur niemiecki dźwiga na sobie w umundurowaniu i uzbrojeniu 60 funtów. Podobne stosunki panują we wszystkich innych armiach europejskich.

Wszystkie starania, dążące do zmniejszenia tego ciężaru, chybiają celu, ponieważ składa się on z najniezbędniejszych przedmiotów. Uprzytomnić sobie teraz wypada, że pancerz Dove'go waży 6 funtów, jest gruby $1\,{}^1/_2$ centymetra, a przytem składa się z masy nieprzepuszczalnej, tamującej wszelką transpiracyę piersi. Jeśli już przy dzisiejszem obciążeniu, znaczna liczba żołnierzy pada podczas marszów ze zmęczenia, to jak wielkie będą te straty. skoro piechur, obok zwyczajnego umundurowania i uzbrojenia będzie jeszcze zaopatrzony w ten ciężki i sztywny pancerz? Piechur, okryty tym pancerzem, mianowicie w dniach upalnych, będzie absolutnie niezdolny do marszu.

Wprawdzie poruszono myśl, aby żołnierz podczas marszu nosił pancerz Dove'go przypięty do tornistra lub do pasa, a przypasywał go jedynie w czasie boju. Pomijając już, że i ten sposób nie zmniejsza obciążenia, lecz rozkłada je tylko tnaczej, to przypasywanie pancerza podczas niespodziewanego napadu, jest wprost niemożliwe, a przytem wywoła niechybne zamieszanie w szeregach żołnierzy, zaopatrzonych w pancerze, osłabi w wysokim stopniu ich gotowość do walki. Jeszcze mniej prawa istnienia ma projekt wożenia tych pancerzy za wojskiem. Taki tabor krępowałby w zupełności wszelką swobodę ruchów walczących oddziałów. Żaden zaś wódz nie pozwoliłby walczyć swym żołnierzom raz w pancerzach, a drugi raz bez tej ochrony. Taki system wywołałby ogromne osłabienie siły moralnej walczących żołnierzy.

Przytem nowy pancerz chroni jedynie piersi i brzuch żołnierza. Pozostają nieochronione: głowa, ręce i nogi. Tymczasem wiadomą jest rzeczą, że w dzisiejszej wojnie oddziały piechoty strzelają do siebie w największej liczbie wypadków w postawie leżącej. W tej postawie na nic się nie zda żołnierzowi ochrona piersi i brzucha, jedyny cel stanowi tutaj głowa. Natomiast pancerz będzie niewątpliwie krępował swobodę ruchów żołnierza, strzelającego w postawie leżącej. Nie stwierdzono dotychczas. jaki opór stawia kompozycya Dove'go pociskom artyleryjskim, granatom i szrapnelom. Prawdopodobnie te pociski, odznaczające się daleko większą siłą niż kule karabinowe, poszarpią nowy pancerz na szmaty. Rzeczą zaś jest pewną, że w przyszłej wojnie piechota więcej ucierpi od pocisków armatnich, niż od kul karabinowych.

Z powyższych objaśnień wynika, że doniosłość nowego wynalazku dla wojsk manewrujących i walczących w otwartem polu jest prawie żadna. Newy pancerz nie ochroni dostatecznie żołnierza przed pociskami przeciwnika, a osłabi w wysokim stopniu jeden z najważniejszych warunków powodzenia w dzisiejszej wojnie: zdolność do marszu, szybkość i swobodę ruchu piechoty. Natomiast trudno zaprzeczyć, że pancerze Dove'go mogą istotnie oddać usługi w wojnie fortecznej, przy obronie lub zdobywaniu ufortyfikowanych pozycyj, gdy żołnierze przez dłuższy przeciąg czasu pozostają na jednem miejscu, i zwykłe dowożenie materyałów, potrzebnych do obrony lub ataku, nie nastręcza zbyt wielkich trudności. W wojnie fortecznej, gdzie żołnierze na bliskie odległości walczą uporczywie o posiadanie pojedyńczych miejscowości lub linij ufortyfikowanych, zastosowanie specyalnych środków ochrony jest zupełnie na miejscu. Korzystniej jeszcze, niż do ochrony samych żołnierzy może być zastosowana nowa kompozycya wszędzie tam, gdzie już dotychczas używano opancerzenia, jak przy okrętach, fortecach itp. Już ze stanowiska materyalnego znaczne zapewniałoby korzyści, gdyby się udało drogie płyty stalowe, używane do ochrony okrętów przed pociskami nieprzyjacielskiemi, zastąpić daleko tańszą masą cementową. Chodzi tylko o to, czy ta masa w odpowiedniej grubości stawia także opór pociskom artyleryjskim. Na tem polu potrzebne są jeszcze doświadczenia, do których w niedalekiej przyszłości zamyśla przystąpić niemiecka administracya wojskowa.

W końcu rzecz jeszcze jedna. Nadzieje, ododzywające się tu i owdzie, że wskutek wynalazku Dove'go przyszłe wojny będą mniej krwawe, opierają się na bardzo kruchych podstawach. Z samej natury rzeczy wynalazek ten przyswoją sobie obie strony walczące. O utrzymaniu go przez czas dłuższy w tajemnicy w dzisiejszych czasach nie może być mowy. Zresztą Dove znalazł już we wszystkich nieledwie krajach naśladowców, którzy prędzej czy później udoskonalą jeszcze jego odkrycie, skoro tylko stwierdzono fakt, iż istnieje kompozycya, chroniąca od kul. W następstwie więc tego wynalazku i zaopatrzenia żołnierzy w pancerze, pojedyncze bitwy będą prawdopodobnie cokolwiek mniej krwawe, lecz za to wynik wahać się będzie dłużej, wojny będą dłuższe, a straty w ludziach w ostatecznym rezultacie, jeśli nie większe, to w każdym razie nie mniejsze, niż w wojnach dotychczasowych.

X.

LAUREACI WARSZAWSCY.



Michał Bałucki.



Daniel Zgliński.

(Patrz artykuły: „Z plonu konkursowego“ w Nrach: 4 i 5 „MYŚLI“).

WOLNE MYŚLI.

(FEJLETON.)

Fr. Smolka. — Nowy teatr w Krakowie. — 100.000 złr. nagrody. — Przykładna ofiarność. Tow. Sztuk Pięknych w Krakowie — Zdziczenie obyczajów.

Że parlament i parlamentaryzm w Austryi był dotąd po angielskim drugim w Europie co do znaczenia, powagi i wartości moralnej — zawdzięczać to należy mężowi, który przez pół wieku bez mała w parlamencie tym zasiadając, a przez lat dwanaście przewodnicząc jego obradom, zasłużył sobie na miano nestora i ojca austryackiej izby ustawodawczej. Mężem tym jest Dr. Franciszek Smolka, dziewiąty krzyżyk noszący starzec, mimo tego krzepki i o młodzieńczym umyśle, najlepszy patryota, demokrata prawdziwy, wzór obywatela.



Franciszek Smolka.

Przed półwiekiem wprost z więzienia, gdzie odczytano mu wyrok śmierci, staje po zmianie ówczesnych stosunków politycznych na czele nowo powstałej izby poselskiej i w Kromieryżu zostaje pierwszym pierwszego parlamentu prezydentem. To też teraz, gdy dobrowolnie ustąpił z widowni życia politycznego Austryi — wszystkie kluby, stronnictwa i partye wszystkich narodowości jak jeden mąż dały taki wyraz hołdu dla sędziwego swego przywódcy, jaki w dziejach rzadko spotkać można. Bez opozycyi też uchwalono umieścić biust Smolki we foyergmachu oraz wysoką dotacyę dożywotnią. Obrady Izby poselskiej za czasów prezydenta Smolki, lubo nie zawsze przybierały pożądany kierunek, to jednak w Izbie tej gwałcenia wolności słowa, jak w Niemczech za Bismarka, bójek, jak we Francyi za Constansa lub wymyślań i przezwisk, jakich świadkiem nieraz był węgierski parlament — u nas nikt nie pamięta, ani o scenach takich nikt nie słyszał, a działo się tak, dzięki osobie prezydującego.

Rzadki dowód rzetelnej miłości Ojczyzny złożył Smolka, ofiarowując cały swój majątek na utrwalenie dzieła, chlubną naszą przeszłość światu głoszącego, jakiem jest kopiec Unii we Lwowie.

Dziś Franciszek Smolka — nie na mocy urodzenia, lecz prawem zasługi wielkiej, niespożytej powołany został do Izby panów Austryi. Miasta Galicyi: jedno za drugiem nadają sędziwemu konstytucyoniście obywatelstwa honorowe.

Polska dumną jest ze Smolki, Austrya szczycić się nim może.

* * *

Znamienną cechą każdego od początku świata nowo powstałego projektu jest to, że jeśli projekt ten ma przeciwników, ma też i obrońców. Inaczej rzecz się ma z projektem dyrektora nieudałej wystawy krajowej w sprawie kontraktu gminy z przedsiębiorcą nowego teatru, który to projekt nie znalazł u nikogo słowa obrony, przeciwnie, wywołał nawet potępienie, oburzenie, a co najsłuszniejsza szyderstwo i kpiny. Ja tylko pozwolę sobie zwrócić uwagę Sz. pana adwokata, radcy i referenta spraw teatralnych, że projekt jego liczy punków 52, podczas gdy brak tam jeszcze jednego, orzekającego, z jakiego sukna ma być — i wiele ma liczyć guzików z herbem Krakowa — uniform tego niby dyrektora i jaki kształt ma mieć służbowa czapka tego funkcyonaryusza magistrackiego. A uniform przecież dla dyrektora nowego teatru jest potrzebny po to, by spotkawszy tego pana jaki komisarz obwodu I-go lub II-go mógł mu kazać iść za sobą po akta, angażujące pannę Buziakównę, odmawiające debiutów Żelazowskiemu, lub po repertuar, ułożony przez archiwistę. Sądzę też, że cztery przedstawienia w roku na cele dobroczynne nie wystarczą, liczbę tychże co najmniej trzeba do dziesięciu podnieść, podobnie miejsca dla „znawców“ podniósłbym do 25, by tych „znawców“ przyjaciele i przyjaciele przyjaciół mogli się nasycić widokiem „Oszustki paryskiej“ lub „Roznosicielki chleba“, bo o ile znam Krakowian, mających stosunki z magistratem, panowie ci w sztukach takich gustują, smacznie śpiąc na innych. Odeprzeć też muszę pogłoskę, jakoby o posadę dyrektora nikt starać się nie chciał; owszem sam słyszałem, że pewien strażak ogniowy, który w służbie wybił sobie oko i złamał nogę, oraz były woźny byłego szpitala cholerycznego i pewien tercyan żeńskiej szkoły o posadę tę się ubiegać zamyślają, niepewni są jednak, czy nie napotkają konkurencyi w osobach dotychczasowych kandydatów. Ale żart na stronę. Projekt pana referenta nadaje się tylko do podarcia na szczątki. Prawdziwi znawcy pp.: Koźmian, Estreicher, Bałucki i Wdowiszewski nadesłali podobno swe opinie. Czekajmy zatem.

* * *

Do „starego wodziarza“ z Fürstenhofu słów parę z powodu jego konkursu. Otóż wykluczywszy porównanie z Węgrami, jako państwem niepodległem, przychodzę do przekonania, że w Galicyi dlatego nie może być język polski urzędowym na kolejach, bo my Polacy, sami tego nie chcemy, boimy się chcieć, nie chcemy robić rządowi trudności, dziękujemy za to, co mamy, co z łaski nam kapnie przytem stoimy i stać chcemy, czyli jesteśmy stojarzami rządu. Alboż nie dosyć, że mamy ministra rodaka! A ponieważ rozwiązałem zagadkę, dlaczego na kolejach nie może być językiem urzędowym język polski, przeto przygotowałem już sobie wertheimowską kasę na owe 100.000 złr. nagrody.

* * *

Dowody przykładnej zaiste ofiarności i szerszego na sprawy narodowe i społeczne poglądu składa nam corocznie krakowska Kasa oszczędności. Zwracając uwagę naszych czytelników na zamieszczony w numerze dzisiejszym bilans tej potężnej instytucyi finansowej, który wykazuje czystego zysku za r. u. 84.510 złr., (czyli o 14,504 złr. więcej, niż za r. 1891), pragniemy na tem miejscu podnieść zasługi dyrekcyi, która, wierna nie wszędzie, niestety, w ten sposób pojmowanej zasadzie, iż należy równomiernie dbać o materyalną i etyczną stronę działalności w tego rodzaju, co banki, zakładach, przeznaczyła znowu w r. b. na wniosek zasłużonego dyrektora p. Slęka 20.000 złr. na ukończenie restauracyi kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu (dodatkowo do uchwalonych w r. 1891 na ten cel 28.000) oraz 20.000 złr. na budowę muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie im. Cesarza Franciszka Józefa I (dodatkowo do udzielonych już 50.000 złr.).

Datek 40.000 złr. na cele narodowej i społecznej doniosłości przy bilansie jednego roku — to fakt znaczeniem swem więcej, niż wybitny.

* * *

Z miasta piszą nam: Szanowna Redakcyo! „Nie wiem, czy wiadomo Sz. Redakcyi o świeżo zaszłej aferze, którą śmiało nazwaćby można Panaminą moralną krakowską..“ (Korespondent nasz opisuje następnie sam fakt, którego jednak tak ze względu na moralność publiczną, jak i toczące się śledztwo, obecnie w żadnej formie podać nie możemy. Tylejeno powiemy, że rzecz, dość głośna już w naszem plotkarskiem miasteczku, dowodzi nietylko zwyrodnienia, ale i zdziczenia obyczajów u pewnych jednostek, którym jeśli nie instynkt moralny, to przynajmniej wzgląd na otoczenie najbliższe, nakazywać powinien pewną miarę w ekstrawagancyach próżniaczego życia, których skutki wchodzą częstokroć w kolizye z kodeksem.) *(Przyp. red.)*

* * *

Walne zebranie członków Towarzystwa sztuk pięknych w Krakowie odbyło się w końcu marca. Liczba akcyonaryuszów nie obniżyła się o wiele i wynosi pokaźną cyfrę 6,250. Ten drobny ubytek akcyonaryuszy w roku ubiegłym przypisuje sprawozdanie temu aksyomatowi, że bez premii kolorowanej niema akcyonaryuszów, a bez akcyonaryuszów nie ma odpowiedniego zakupu. Z powodu obniżenia się cyfry akcyonaryuszów, mogła dyrekcya na cel zakupna dzieł sztuki do rozlosowania przeznaczyć tylko 9,430 złr., gdy przed laty, przy 9,000 akcyonaryuszów, przeznaczyła na ten cel do 20.000 złr. Za to wzrósł zakup dzieł sztuki w drodze spłaty na raty, wprowadzonej przez Towarzystwo. Z tego tytułu osiągnięto kwotę 14,142 złr. W ogóle oblicza sprawozdanie, że za pośrednictwem Towarzystwa wpłynęła dla artystów kwota 31,271 złr. W końcu apeluje sprawozdanie do poparcia publiczności.

Sprawozdanie imieniem kontrolującej komisyi złożył p. Filochowski i wykazał, że dochody wyniosły w r. 1892 kwotę 43,446 złr. 19 c., rozchody 36,181 złr., 84 ct., pozostało 7,265 złr. 35 ct. Liczba akcyonaryuszów wynosiła w roku 1892 liczbę 6,250; w r. 1891 liczbę 6,460. Udzielono Dyrekcyi absolutoryum. Do komisyi rewizyjnej wybrano pp. Filochowskiego, Gołąba i Raczyńskiego.

KRONIKA.

a) literacka.

*** Nagrody za kantaty ku czci Mickiewicza napisane, a odśpiewać się mające w czasie odsłonięcia pomnika Wieszcza, co, niewiedzieć kiedy nastąpi, otrzymali pp. Konstanty Górski, Lucyan Rydel, Jan Kasprowicz i Karol Łepkowski.

W numerze dzisiejszym drukujemy prześliczną kantatę znanego poety, która jednak nie doczekała się nagrody.

*** W. Kosiakiewicz napisał nową powieść p. t.: „Władek“, którą drukuje „Gaz. Polska“.

*** Złożenie zwłok Teofila Lenartowicza na Skałce, nastąpi prawdopodobnie 28 maja b. r. Pogrzeb twórcy „Lirenki“ będzie miał charakter ludowy-sielski.

*** W Peszcie zabierają się Węgrzy do uczczenia 50-tej rocznicy pracy Jokaja, na kształt jubileuszu Kraszewskiego. Program obejmuje jako główne punkty: z mocy ustawy fundacya dożywotnia dla jubilata, a następnie odsetki od niej dla zasłużonych literatów; utworzenie coś w rodzaju Walhalli węgierskiej, korowody z pochodniami, deputacye, teatry i t. d. Uroczystości mają nosić znamię złotych godów z literaturą, więc wielką w nich rolę wyznaczono — i to jest nowem — kobietom. One się zjawią z darami, one zabiorą jubilata na posiedzenie uroczyste. Artyści przygotowują „monstre“, zabawę kostyumową, a protektorat całego jubileuszu obejmie arcyksiąże Józef. Odbędzie się to wszystko w październiku.

b) artystyczna.

*** Na benefis p. Anny Kałużyńskiej, utalentowanej i pracowitej artystki naszej sceny, odegrany został ubiegłej soboty dramat historyczny Br. Grabowskiego, odznaczony na konkursie im. Wołodkowicza pt.: „Książę Henryk“. Autor „Boruty“ osnuł swój utwór, mający prawdziwą wartość literacką i głębsze etyczno-narodowe znaczenie, jako glorifikacya żywotności i patryotyzmu ludu szląskiego, na pamiętnikach dworzanina XVI w. Hansa Schweininchena o hulaszczem życiu Piasta, Henryka XI i tegoż antagonizmie do zniemczonego brata Fryderyka. Sztuka, w której postacie: tytułowa i bohaterskiej Elżbiety Jagodzianki, włościanki szląskiej, występują dość plastycznie, cieszyła się powodzeniem, acz nie posiada warunków scenicznych. Z artystów, grających w „Księciu Henryku“ zasłużyli na wyróżnienie: benefisantka, oraz pp. Rygier i Sliwicki.

*** W teatrze „An der Wien“ wystawiono z sukcesem narodową operę czeską Smetany: „Prodana newesta“ po niemiecku.

*** Najnowsza sztuka Willbrandta: „Bernard Lenz“ zrobiła w Burgu fiasco.

*** W teatrze hr. Skarbka we Lwowie grano z powodzeniem komedyę p. t.: "Pan poseł", napisaną przez pp. A. Abrahamowicza i J. Kliszewskiego.

*** Komedye St. Graybnera: „Fredzio“ i „Hrabia Jerzy“ grane będą w teatrze krakowskim 15 i 22 b. m.

*** Opera Delibes'a p. t.: „Kassya“ (Kasia), osnuta na tle motywów pieśni ludowych i rzekomych stosunków galicyjskich, wystawiona niedawno w paryskiej Operze Komicznej, miernego doznała powodzenia.

*** Na benefis pani Natalii Siennickiej, wysoce uzdolnionej artystki naszej sceny, przedstawioną została sztuka p. Barbitona p. t.: „Wernyhora“. Jestto przeróbka z powieści Michała Czajkowskiego pod względem opracowania literackiego stojąca na równi ze znanemi przeróbkami scenicznemi, jak np.: „Ogniem i Mieczem“ i „Potop“ (przerobił p. Pobóg), „Książe Józef Poniatowski“ (z powieści Kraszewskiego „Pod blachą“ przerobił Arwin i Koźmian) oraz „Pan Wołodyjowski“ (przerobił p. Siemaszko), które to scenizowane utwory tylko niewybrednego słuchacza zadowolnić mogą. W „Wernyhorze“ znajdujemy sceny, które krzykliwością swą obniżają doniosłość patryotycznej tendencyi. Mając do czynienia z materyałem tak bogatym i pięknym, jakim jest dla dramaturga „Konfederacya barska“ i „Koliszczyzna“, oraz postacie Kazimierza Pułaskiego, księdza Marka i wielu innych bohaterów tej epopei, autor z żalem naszym materyału tego wyzyskać niepotrafił. Najgłówniejszej i najpiękniejszej postaci tych czasów Kazimierzowi Pułaskiemu autor, oprócz. odczytania manifestu, nie kładzie w usta ani jednego wyrazu przez ciąg całej sztuki i w akcyi czyni go zupełnie zbytecznym, ksiądz Marek — ten Piotr Amiens ośmnastego stulecia — błąka się po scenie, nie wiedzieć po co i na co, Wernyhora zaś — prawdę powiedziawszy, nie jest on żadną historyczną postacią, dzięki Słowackiemu tylko znajduje się w naszej literaturze — niby ma być głównym czynnikiem sztuki, osią, wokoło której rzecz cała się obraca, tymczasem w sztuce p. Barbitona rola jego jest bardzo ograniczoną. Wernyhora, chłop ruski, stary teorbanista zajmuje się losami Rzeczypospolitej niezgorzej od samego pana Potockiego, paktuje z sułtanem i chanem, a zarazem gra na teorbanie i prorokuje. Przewijający się gdzieniegdzie wątek erotyczny w utworze ma przedstawicieli w osobach: cyganki Romy, Gonty, który też jest drugą postacią w sztuce po Wernyhorze i grafa Tamary. Role młodej, ognistej cyganki Romy, oddała pani Siennicka tak, że grą swą podniosła znacznie wartość utworu, pan Rygier jako Gonta siał zgrozę i przestrach po galeryi, a pan Sobiesław jako pułkownik Nekrasa dawał do poznania, że mocno jest zirytowany.

Z. P.

NEKROLOGIA.

† Anna Bilińska (Bohdanowiczowa), znakomita portrecistka, zmarła w Warszawie. śp. Bilińska uzyskała w r. z. nagrodę w salonie paryskim za portret własny.

† W Karlsruhe umarł Wilhelm Lübke, słynny historyk sztuki.

† Malwina Ogonowska, znana literatka, która przez długi szereg lat uczyła języka polskiego i literatury polskiej na akademii im. Mickiewicza w Bolonii, założonej przez Santagatę, umarła we Florencyi niemal nagle.

† Adam Herman, głośny wiolonczelista, umarł w Warszawie.

† Jan Quattrini, b. dyrektor opery warszawskiej, umarł tamże.

† Zmarł w Kielcach po długich i ciężkich cierpieniach ś. p. Wacław Holewiński, literat i dziennikarz.

TREŚĆ „MYŚLI“.

Bilans Kasy Oszczędności m. Krakowa z dnia 31. Grudnia 1892 r.

STAN CZYNNY:

		Złr.	ct.
Zapas gotówki		431.346	37
Zaliczki na zastaw papierów wartościowych		392.782	—
Weksle eskontowane		599.443	97
Pożyczki na hipótekę		6,894.344	32
Pożyczki na skrypta gminne		140.379	66
Zaliczki na pensye		1.998	—
Oddział pożyczkowy na zastawy		452 206	59
Papiery wartościowe — wartość imienna złr. 2,193.190		2,189.126	45
Wartość kuponów bieżących		32.567	33
Odsetki zaległe i bieżące od pożyczek hipotecznych i zastawów pap. wartościowych		109.152	94
Podatek dochodowy z realności wolnych od podatków do ściągnięcia za r. 1892		14.384	55
Wartość mebli i urządzeń biurowych		2.205	—
Kaucye służbowe dyrektorów i urzędników		16.982	55
Kaucye i $^1/_3$ ceny kupna złożone na egzekucyjne kupno realności w Krakowie		35.643	26
Fundusz imienia Cesarza Franciszka Józefa I. na budowę Muzeum Techniczno-Przemysłowego w Krakowie:			
$4^1/_2$% Listy zast. galic. Tow. kr. Z. wart. im. 50.000 po złr. 100·—	złr. 50.000·—		
Książeczka Kasy Oszczędności Nr. 111.229	„ 7.736·20	57.736	20
Fundusz rezerwowy A):			
Nieruchomość: Dom Kasy Oszczędności przy ulicy Szpitalnej	złr. 146.680·—		
Realność nabyta w myśl uchwały Wydz. W. zatwierdzonej przez Wysok. c. k. Namiestnictwo reskr. z 4 Lipca 1892. L. 48.210	„ 26.100·—		
Razem	złr. 172.780·—		
Odpada 3% na umorz. kosztów budowy w myśl uchwały Wydz. W.	„ 5.785·—		
Wartość nieruchomości		166.995	—
złr. wart. im. 37.000 6% Obligacye pożyczki krajowej z r. 1873 po złr. 100·—	złr. 37.000·—		
„ „ „ 245.000 $4^1/_2$% Obligacye pożyczki krajowej z r. 1883 „ „ 98·—	„ 240.100·—		
„ „ „ 250.000 $4^1/_2$% Listy zastawne galic. Tow. kredyt. ziem. „ „ 100·—	„ 250.000·—		
„ „ „ 250.000 4% Listy zastawne Banku Austro-Węgierskiego „ „ 99·70	„ 249.250·—		
„ „ „ 50.000 4% Listy zastawne gal. Tow. Kred. Z. 41-letnie „ „ 94.75	„ 47 375·—	823.725	—
złr. wart. im. 833.000			
Książeczka Kasy Oszczędności Nr. 14.765	złr. 368·29		
„ „ „ Nr. 39.717	„ 1.598·14	1.966	43
Kupony bieżące od $6^0/_0$ i $4^1/_2{}^0/_0$ Obl. pożyczki kraj. i $4^0/_0$ List. zast. Banku Austr.-Węg.		4.707	50
Kasa zaliczkowa { W zaliczkach na kredyta osobiste	złr. 12.147·27		
{ W gotówce	„ 822·40	12.969	67
Fundusz rezerwowy B):			
złr. wart. im. 125.000 $4^0/_0$ Listy zastaw. galic. Tow. kredytowego ziem. po złr. 96·—	złr. 120.000·—		
Książeczka Kasy Oszczędności Nr. 47 666	„ 281·94	120.281	94
Fundusz emerytalny:			
złr. wart. im. 60.000 $4^0/_0$ Obligacye propinacyjne galicyjskie po złr. 94·65	złr. 56.790·—		
„ „ „ 25.009 $4^0/_0$ Listy zast. galic. Tow. kredyt. ziem. „ „ 96·—	„ 24.000·—		
Książeczka wkładkowa Kasy Oszczędności Nr. 80.570	„ 1.536 25	82.326	25
		12,583.270	98

STAN BIERNY:

		Złr.	ct.
Władki łącznie ze skapitalizowanemi odsetkami		11,166.204	30
Rachunki bieżące Zakładów publicznych		4.553	62
Odsetki pobrane na rok 1893		40.160	83
Należytość stemplowa od zastawów		150	85
Kaucye służbowe dyrektorów i urzędników		16.982	55
Fundusz imienia Cesarza Franciszka Józefa I. na budowę Muzeum Techniczno-Przemysłowego w Krakowie		57.736	20
Majątek Kasy Oszczędności miasta Krakowa:			
Fundusz rezerwowy A)	złr. 997.393 93		
„ „ A) Kasa Zalicz. na kredyta osobiste	„ 12.969·67		
„ „ B)	„ 120.281·94	1,130.645	54
Fundusz emerytalny		82.326	25
Pozostałość — zysk		84.510	84
		12.583.270	98

Kraków, dnia 31. Grudnia 1892 r.

Naczelnik rachunkowości
J. Opieński.

Dyrekcya Kasy Oszczędności:
J. M. Jawornicki, ***Franciszek Słęk.***

Rachmistrz
Z. Kowalski.

Kasyer
Roman Walter.

Za zgodność z księgami rachunkowemi

Delegowani do sprawdzenia Członkowie Komisyi Kontrolującej:
J. Friedlein; Dr. J. Hajdukiewicz; Jan Kwiatkowski; E. Stockmar.

C. k. Komisarz rządowy: **Dr. A. Halban.**

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Bornsztein.**